

ROK V.

Krzemieniec, listopad—grudzień 1929 r.

№ 3-4.

N A S Z

W I D N O K R A

mieściz
dzieżyli
krzemi

nik mto.
ceum ~
enieckiego.

Seweryn Małwa.

PAMIĘCI DAWNYCH PROFESORÓW LICEALNYCH.

Sypią się na mogiły liście coraz krwawsze
i pełzają za wiatrem na grobów piaskowiec...
Waszą pamięć, Wy, Polski najlepsi synowie
święcimy dziś i święcić będziemy na zawsze!
Chwała Wam!...

Wy, którzyście tę ziemię tak bardzo kochali,
że Wam serca musiało wygnanie rozdzierać,
a potem szliście do niej z obczyzny oddali,
aby tutaj, w Krzemieńcu, na niej choć umierać—
Chwała Wam!...

Niech dziś Wasze mogiły w słońca światłospadzie
rozjaśnia się, bo na gmach tej świątyni sławnej,
którą niegdyś zburzyły dłonie marnotrawne,
nasza dłoń dzisiaj znowu cegły mocy kładzie,

bo ziarna dążeń Waszych nie znikły bezpłodnie—
spadkobiercy prawd Waszych i Waszej nauki,
my, wiernych uczniów Waszych pamiętne prawnuki
sztandar w górę podnieśliśmy i poniesiem godnie,

bo już napił się wody turecki koń w Dniestrze—
powstała oto ze snu Matka, ukochana
Ojczyzna i ze śladem po tortur kajdanach
śnieżyście swoje skrzydła rozesała w przestrzeń...

Sypią się na mogiły liście coraz krwawsze
i pełzają za wiatrem na grobów piaskowiec...
Waszą pamięć, Wy, Polski najlepsi synowie
święcimy dziś i święcić będziemy na zawsze!
Chwała Wam!...

O D R E D A K C J I.

Do tych, których czas oddalił od nas, na różne drogi skierowując, nie na to jednak, aby zapomnieli o dawnym swem otoczeniu, nie na to, aby wzięły, zadzierzgnięte w szkole przeciąć na zawsze; do tych, którzy chcą pamiętać o nas i dać obraz swego nowego życia i otoczenia, do tych wszystkich wyszedł od nas apel w numerze 1-2 „Naszego Widnokręgu“ b. r.

I apel nasz znalazł odgłos: oto otrzymaliśmy kilka artykułów, z pomiędzy których jeden p. t. „Kilka słów o szkole powszechnej w Turkowiczach“ zamieszczamy w niniejszym numerze.

Nasz widnokrąg powiększył się.

Dziękujemy i czekamy dalej.



Witold Rudnicki.

PROFESOROWIE DAWNEGO LICEUM.

Często wracamy myślą do tych czasów, kiedy Liceum od swego założenia (r. 1805) aż do, kasaty (r. 1832) przeżyło swój okres pracy oświatowej i kulturalnej, dzięki której stało się sławnem, aby zastanowić się nad tem, co w największym stopniu przyczyniło się do takiego stanu rzeczy, do ugruntowania jego istnienia, do opromienienia zakładu tego aureolą sławy, oraz do wytworzenia się tak wysokiego poziomu umysłowego i duchowego tej uczelni, a zarazem i całej prowincji.

Wychodzili z Liceum ludzie z charakterem, wyrobieni społecznie obywatele, ludzie o dużych wartościach moralnych. Nie jest to przecież ich wyłączną zasługą, lecz zasługą zwierzchników — profesorów, którzy kierowali ich wychowaniem i kształceniem. Zнали oni nie tylko przedmiot, który wykładali, lecz znali dusze i charaktery swych wychowanków, umieli przez odpowiednie metody zainteresować uczniów swym wykładem, ale co ważniejsze — umieli przyjaćielskiem swem postępowaniem,

dobrocią serca i prawością swego charakteru rozbudzić w wychowankach swych szlachetne porywy i uczucia, umieli rozbudzić w nich chęć czynu i zapał do pracy.

Przez to właśnie stanęło Liceum w rzędzie najlepszych uczelni Polski.

To też Czacki, zakładając Gimnazjum Wołyńskie (późniejsze Liceum), starał się pomimo wszelkich trudności dobrać i sprowadzić jaknajlepszych profesorów. Celem swego po trudach i zachodach dopiął, obsadzając katedry Gimnazjum takimi profesorami, jak Józef Czech, ks. Antoni Jarkowski, Paweł i Wojciech Jarkowscy, Alojzy Osiński, Wilbald Besser i wielu innymi, sławnymi już przedtem na całą Polskę, a nawet i zagranicę ludźmi.

Dobór był tak dobry, charaktery ich tak zgodne, natury tak szlachetne, że profesorowie ci stanowili zwarte grono, którego spójnią była jedna i ta sama myśl przewodnia. Nie było w nim żadnych zgrzytów, żadnych niesnasek, które zwykle bardzo ujemnie wpływają na stan zakładu wychowawczego.

Wielu z nich wysunęło się na miejsce czołowe tej grupy. W pierwszym rzędzie stanęli tacy, jak Józef Czech, który w r. 1805 obejmuje tu posadę, jako pierwszy dyrektor Gimnazjum. Był to człowiek nie tylko wykształcony i obeznany ze swoim przedmiotem, ale człowiek prawego charakteru, czynny, ruchliwy, posiadający wszystkie zalety, potrzebne dyrektorowi. To też był przez wszystkich za to kochany i szanowany. Co do jego charakteru, to dość wspomnieć, że był uczniem Jana Śniadeckiego, następnie profesorem Akademii Krakowskiej, a prócz tego posiadał stopień doktora filozofii. Był także członkiem rozmaitych towarzystw naukowych, jak np. Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na posiedzeniu którego w r. 1814 t. j. już po jego śmierci, prezes St. Staszic poświęca jego pamięci ciepłe wspomnienie.

Jeżeli chodzi o zasługi, jakie położył dla Liceum, to tego w kilku słowach określić niepodobna. Świadczą o nich najlepiej te znamienne słowa: „Bądź Józefowi Czechowi podobny“, które powtarzano przy oddawaniu władzy każdemu nowomiano-

wanemu dyrektorowi. Zaznaczyć jeszcze należy, że obejmował on w Gimnazjum Woł. katedrę wyższej matematyki, i że wykłady jego były bardzo interesujące i oparte na głębokich wiadomościach z tej dziedziny nauk. Pracował na terenie tym niedługo, bo zaledwie kilka lat. Umarł w r. 1811., a zakład pogrzeżył się w żałości po tak zasłużonym człowieku. Pozostało po nim kilka dzieł, między innemi „Krótki wykład arytmetyki“, tłumaczenie „Początków teorii Euklidesa“ i inne.

Drugim z kolei pod względem zasług był ks. prefekt Antoni Jarkowski, doktor filozofji i profesor prawa. Pracował on w Liceum przez cały okres jego istnienia t. j. od r. 1805. do 1832., pełniąc trudne obowiązki prefekta szkoły, wymagające dużo taktu i serca. Pracy miał dużo, bo oprócz tego, że jako prefekt musiał nadzorować uczniów tak w Liceum, jak i w konwiktach wolnych, funduszowych i lernetowskich, miał jeszcze wykłady z zakresu prawa, co razem wypełniało mu każdą chwilę czasu. Z tego już widać, że był on człowiekiem pracowitym. Dodamy do tego, że był również cichym i skromnym.

Przez cały okres swej pracy niejednokrotnie zastępuje dyrektora. On też oddaje ostatnią posługę niejednemu swemu koledze, przede wszystkim T. Czackiemu, swemu najlepszemu przyjacielowi, wraz z którym tak sumiennie stali na straży dobrego imienia zakładu.

Jednym z najlepszych profesorów literatury polsko — łacińskiej był ks. Alojzy Osiński, wykładający przedmioty te przez lat osiemnaście. Posiadał on bardzo wielki dar wymowy, to też na wszystkich uroczystościach wygłaszał piękne i wzniosłe mowy, zawierające zdrowe myśli i poglądy, pełne młodzieńczego zapału i zachęty do pracy. Zachęca on nietylko słowami, ale także i przykładem. Jak wiadomo, poświęcał on każdą wolną chwilę na pisanie rozpraw i dzieł. Pozostało też po jego śmierci przeszło sto rękopisów, które świadczą o wielkiem zamiłowaniu autora do pracy.

Nie też dziwnego, że liczne towarzystwa naukowe w uznaniu zasług ks. Alojzego Osińskiego, mianują go swoim człon-

kiem, jak np. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, naukowa instytucja krakowska i cesarski uniwersytet w Wilnie, a nawet w r. 1820 sam papież Pius VII. ozdabia pierś jego wysokim orderem.

W r. 1824. wskutek wezwania opuszcza Krzemieniec, przenosząc się do Wilna, gdzie po upływie kilku lat zostaje doktorem św. teologii i kanonikiem wileńskim, zaś w jakiś czas potem infułatem ołyckim, a w końcu biskupem sufraganem łuckim, na którym to stanowisku pozostaje do końca życia.

Katedrę literatury po Osińskim obejmuje słynny autor „Barbary“, Alojzy Feliński, mianowany także dyrektorem zakładu. Gdy objął swój urząd, zdawało się wszystkim, że wróca po chwilowem zachwianiu się Liceum czasy Czackiego — lecz nie danem było doczekać się tego, gdyż nowy dyrektor umiera po roku ledwie pracy.

Cechowały go obok uczoności takie zalety, jak wymowa, bystrość umysłu, powaga, energia, umiłowanie pracy, a przede wszystkim wielka słodycz charakteru, jednająca mu wszędzie przyjaźń i zaufanie ludzkie.

Za jego czasów ożywiło się w wielkim stopniu życie naukowe Liceum. Przyczyniło się do tego urządzenie przez niego częstych przyjęć u siebie w domu, które to przyjęcia miały właściwie charakter literacko — naukowy,

To są najważniejsze cechy jego charakteru, przyczem należy podkreślić, że był człowiekiem bardzo wykształconym, czego dowodem jest choćby n. p. to, że Towarzystwo Przyjaciół Nauk zaliczyło go w poczet swoich członków, a po jego zgodnie poświęciło dwa zebrania dla uczczenia jego pamięci.

Osieroconą po Felińskim katedrę objął znany powszechnie powieściopisarz i dramaturg, Józef Korzeniowski, autor „Karpackich górali“, który wykładał tu poezję, literaturę polską, estetykę i wymowę. Zaznaczyć należy, że przedtem był uczniem Liceum, potem nauczycielem przy Zygmuncie Krasińskim, a dopiero w r. 1823 profesorem Liceum, gdzie pracował aż do ka-

saty szkoły, poczem obejmuje katedrę na uniwersytecie kijowskim.

Tak przedstawiliby się w głównych zarysach najwybitniejsi profesorowie literatury. Należy jeszcze wspomnieć znakomitego profesora, poetę Euzebjusza Słowackiego, ojca Juliusza, ale ten pracował tu niedługo, przenosząc się na uniwersytet wileński.

Jeżeli chodzi o historję naturalną i chemję, to na czele profesorów tego przedmiotu stoi Franciszek Schejdt, człowiek bardzo wykształcony, najlepszy przyjaciel Czecha, którego przez swoją przedwczesną śmierć pociąga za sobą do grobu. Stanowisko jego w Gimnazjum jest przygodne, gdyż pełnił obowiązki swe tymczasowo, mając przenieść się na stanowisko dyrektora podolskiego, jednakże przeszkodziła temu śmierć.

Zanim objął posadę na kresach, miał już wyrobione imię. A więc: jako 23 letni młodzieniec wykłada w Lublinie fizykę, a wykłady jego budzą tak wielkie zainteresowanie, że przychodzą na nie nawet okoliczni ziemianie.

W r. 1785 zostaje wezwany do Krakowa, gdzie pracuje wytrwale, urządza gabinet mineralogiczny i ogród botaniczny, układa cenny zielnik i t. p. Król St. August zaszczyca go swemi względami, wysyłając go do zbadania gór miedzianych i min srebrnych w Olkusz. Oprócz tego pełni w Krakowie nawet urząd sędziego, wyniesiony na to stanowisko dzięki przymiotowi sprawiedliwości.

Jak widzimy, był sławny na całą Polskę, to też po jego śmierci ukazuje się rozprawa o jego życiu i pracach, napisana przez Michała Bergonzonego.

Ogromne zasługi dla rozwoju Liceum położył cudzoziemiec z pochodzenia, ale Polak duszą i sercem, botanik i zoolog Wilbald Besser, którego nazwisko tak chlubnie zapisało się nie tylko w dziejach Liceum, ale także i w dziejach Polski, ponieważ zbadał on dokładnie Wołyń i Podole pod względem florystycznym, stawiając obszar ten na pierwszym miejscu z pomiędzy wszystkich krain Polski, jako pierwszy dokładnie zbadany.

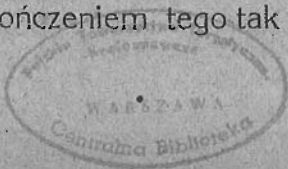
Podobnie opromienił sławą Liceum Eichwald, który przy pomocy Zborzewskiego, Andrzejewskiego i Zienowicza badają bardzo dokładnie geologję okolic Krzemieńca. Przyczynił się do tego także i Czekanowski, uczeń Bessera, który po roku 1863, zesłany na Sybir, rozpoczyna tam badania geologiczne i kładzie tak wielkie zasługi, że nawet pasmo górskie, leżące pomiędzy deltami Leny i Oleneku dostaje nazwę grzbietu Czekanowskiego.

Oprócz tego należałoby wspomnieć jeszcze o tych wszystkich profesorach, którzy, pobierali początkowo nauki w Liceum, którzy tu kształcili się i wychowywali, aby zająć potem te zaszczytne stanowiska profesorów. Jest ich dość dużo, a z pomiędzy nich wyróżniają się tacy, jak znany nam już poprzednio Józef Korzeniowski, następnie Wojciech Zborzewski, Antoni Andrzejewski, Michał Wiszniewski, Grzegorz Hreczyna i inni mniej lub więcej wybitni. A ileż było tych cichych pedagogów, którzy wprawdzie nieuzyskali rozgłosu, lecz pracą cichą, a wytrwałą przyczynili się, podobnie jak ci pierwsi, do tego, że zakład zostaje podniesiony do godności Liceum, które stoi na tak wysokim poziomie, że jest jakby szkołą przygotowawczą, z której wychodzą profesorowie uniwersytetów. Uniwersytet Wileński, skoro tylko zauważył jakąś wyjątkową siłę w Liceum, jako jego zwierzchnik, powoływał ją do siebie, tamując tem nieraz rozwój zakładu.

Za przykład może posłużyć Michał Fryczyński, były uczeń Liceum, doskonały agronom, który obejmuje posesję przy nowo-utworzonym instytucie agronomicznym. Instytutem kieruje tak dobrze, zakładając wzorowy folwark w Sapanowie, że sława jego dociera aż do Wilna i tamtego uniwersytetu, który powołuje go do siebie, wskutek czego instytut agronomiczny, z braku kierownictwa, upada.

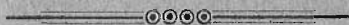
Lecz nietylko na to jedno stanowisko byli powoływani profesorowie Liceum, bo duża ilość z pośród nich obejmowała katedry uniwersytetów: kijowskiego, moskiewskiego i t. p. a także zajmowali stanowiska biskupów, metropolitów, rektorów sem. i t. p.

Rok 1832 jest zakończeniem tego tak świetnego stanu, gdyż



następuje kasata zakładu, uczniowie i profesorowie rozpraszają się w rozmaite strony, zbiory, biblioteka i gabinety zostają wywiezione do Kijowa, a kresy wschodnie tracą swe ognisko oświaty i kultury. Kończy się promieniowanie jego na cały obszar, milkną echa życia w murach zakładu aż do roku 1920, kiedy to Marszałek i Wódz Józef Piłsudski wskrzesza je nanowo.

Mogily dawnych profesorów pokryły się darnią i zarosły krzewami, jednakże pamięć o nich w Liceum żyje. Uczy nas ona jeszcze dzisiaj, wzbudzając w nas część i szacunek dla tych tak dalekich czasem, w którym żyli, a bliskich nam sercem profesorów.



Władysław Mróz

„ŚWIĘTO ZMARŁYCH” w KRZEMIĘNCU i JEGO OKOLICY.

Opracowane na podstawie ankiety, urządzanej p. Maczakową w Szkole Powszechnej № 3, oraz na podstawie własnych obserwacji.

Obchód „Dziadów”, ten starosłowiński zwyczaj, nie zupełnie jeszcze zaginął na ziemiach polskich; żyje on jeszcze w wielu okolicach kresowych, przybierając bardzo różne formy.

Widziałem n. p. na Polesiu, w powiecie łuninieckim, jako jego pozostałość, składanie na grobach napoju w naczyniach domowego użytku dla zmarłych.

Na Wołyniu jest on nazwany „Świętem zmarłych”, lub po rusku „Prowodami”.

„Święto zmarłych” obchodzi się u nas dwa razy do roku: wiosną za tydzień po Wielkanocy i jesienią na Jana Bogosłowa. W przeddzień święta troską każdej rodziny jest uporządkowanie i przystrojenie mogiły swoich członków i krewnych. Ścieżki koło mogiły wyrównywują, oczyszczają z błota i posypują je wreszcie białym piaskiem, a na mogile wysypują z niego biały krzyż. Pomniki z piaskowca i płyty, zczerniałe od deszczów, przeważnie białą, wskutek czego cmentarz robi wrażenie białości i czystości.

Gospodynie nie chcą również pozostać w tyle. One to

przyjmują na siebie obowiązek ugoszczenia na cmentarzu w dniu święta rodziny, krewnych i znajomych. Pieką w tym celu bułki, kołaczki, ciastka, gotują kapustę z mięsem i inne przysmaki. Dziewczęta przygotowują z kwiatów i zieleni bukiety i wieńce, które mają złożyć na mogiłach.

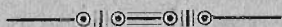
Nazajutrz po południu zaczyna się „Święto zmarłych”. Każda rodzina zamknawszy dom, podąża w komplecie na cmentarz. Tam to obowiązkiem gospodyni domu jest nakrycie mogiły białą serwetą, pośrodku której kładzie biały chleb, bułki i owoce, na skraju jej zaś książeczkę, w której zapisani są zmarli członkowie rodziny, t. zw. „hramotkę”. Pomagają jej w tem dziewczęta, córki, lub spokrewnione. Przez ten czas pop ubiera się na cmentarzu w szaty liturgiczne. Zaledwie zdąży się ubrać, już musi służyć ludziom przy ich mogiłach. Każdy chciałby go prędzej mieć przy „swojej” mogile, to też szarpia go i ciągną za rękawy we wszystkie strony, wskutek czego wynikają często sprzeczki i gwar jest ogromny, jak na jarmarku. Gdy wreszcie pop przyjdzie do mogiły, po pewnych obrzędach wyczytuje z książeczki imiona umarłych, a ludzie modlą się za nich—nazywa się to „panachidą”. Skończywszy, otrzymuje datek pieniężny i wynagrodzenie w naturze t. j. bułki, pierogi, kołaczki, które zabiera do worka djak, chodzący za nim. Zwykle i dziady chodzą za popem od jednej mogiły do drugiej, bo spodziewają się wobec niego lepszych datków od ludzi i resztek, które im rzuci od czasu do czasu djak. Nic dziwnego, że do resztek zwykle torują drogę świszczące w powietrzu kosztury.

Skończywszy modlić się na swoich mogiłach, śpieszą wszyscy z zapalonemi świecami do podziemi kaplicy cmentarnej; aby pomodlić się przy grobowcach bogatych i zasłużonych ludzi. Na ostatku wreszcie modlą się ludzie na mogiłach żołnierskich, kładąc na nich również datki. Po ukończeniu modlitw na mogiłach, wraca pop do bramy cmentarnej, gdzie znajduje się stół, nakryty białem płótnem. Przy stole tym wyczytuje z książeczek, położonych na nim, imiona zmarłych, za których wszyscy się modlą. Jest to ogólna „panachida”.

Po jej skończeniu kładzie każdy, co może na płótno rozciągnięte na stole: kołaczki, bułki, jabłka, albo też datek pieniężny.

Teraz zaczyna się wieczerza na grobach. Jest to właśnie moment, który ma pewne styczność z „Dziadami“. Oto rodzina uczująca wierzy, że jej zmarli członkowie biorą udział w spożywaniu pokarmów i że przez to doznają ulgi w cierpieniach pokutnych. Gospodynie dobywają z koszyków przygotowane specjały, mężczyźni wódkę. Goszczą się tak wśród gwaru dotąd, dopóki się nie ściemni. Wtedy dawszy biednym jałmużnę, powracają do domu wraz z zaproszonymi gośćmi, gdzie goszczą się nieraz do późnej nocy.

Cmentarz, jak i przedtem, pozostaje znów pusty i smutny aż do wiosny. Po Wielkanocy znów się zaroi na nim od ludzi, zaś pobielone pomniki staną wśród kwitnących śliw i jabłoni.... Piękny to jest widok i niezawodnie on to wywarł tak silne wrażenie na nieletnim Julku Słowackim, że pamiętał je przez całe życie, refleksje czego spotyka się w jego dziełach, na przykład porównanie do „grobow pobielanych“.



Władysław Mróz.

O POTRZEBIE MUZEUM REGIONALNEGO w KRZEMIĘNCU.

Podczas gdy zachodnie województwa Polski mają tu i ówdzie muzea regionalne, czy to w miastach wojewódzkich, czy też powiatowych, kresy wschodnie są pod tym względem bardzo zaniedbane. — Czyżby naprawdę było tak, jak odpowiadają mieszkańcy danej miejscowości przyjezdnemu turyście, który chce ją zwiedzić: „U nas żadnych zabytków, ani nic ciekawego niema“?

Jest to wierutne kłamstwo, na złagodzenie którego możemy dodać, że jest nieświadomem, spowodowanym tylko brakiem zainteresowania się miejscem zamieszkania. Mieszkaniec miejscowości, w której jest rozbudzony ruch regionalny lub, co ważniejsze, muzeum, tego nam nie powie. Dodać trzeba, że właśnie Kresy posiadają może najwięcej rzeczy ciekawych i oryginalnych zabytków historycznych i nic dziwnego — przecież życie polityczne dawnej Rzeczypospolitej toczyło się przeważnie na Kresach. Przedstawiają one również bardzo ciekawy teren pod

względem etnograficznym, gdyż lud tutejszy mając mało styczności z posmakiem t. zw. „kultury“, która na zachodzie Polski wtargnąwszy na wieś, zdemoralizowała ją w pewnym stopniu i przyczyniła się do zaniku niektórych obyczajów, wytworzywszy dla nich pogardę, zachował wiele cech swoistych.

Kresy ucierpiały najwięcej w ostatniej wojnie. Wiele pamiątek zrabowali z nich zaborcy, wywożąc je do swoich zbiorów, ale dużo jeszcze pozostało bądź to w rękach prywatnych, tak że nikt o nich nie wie, bądź też niszcząc bez żadnej opieki. O ile od czasu do czasu zostanie przypadkowo odnaleziona jaka cenna rzecz, bywa zabierana do któregośkolwiek z muzeów, znajdujących się w dużych miastach. I podczas gdy w miejscu, skąd pochodzi, miałaby ona znaczenie pierwszorzędne, w muzeum wielkomiejskiem jest eksponatem podrzędnym i jako taki z braku miejsca w muzeum, bywa umieszczony.... w skrzyni. Gdy nawet w najlepszym wypadku zostanie wyciągnięta na światło dzienne, mogą ją oglądać tylko ci szczęśliwcy, którzy mieszkają w danem mieście, lub których stać na pojechanie do niego.

Dobrze, odpowie ktoś na to, ale przecież obecnie o wiele łatwiej jest udać się grupami na zwiedzanie większych miast, muzeów, wystaw i t. p. To prawda, ale przyjeżdżający do dużego miasta gubi się w powodzi przeróżnych widoków i eksponatów muzealnych, wśród których odnalezienie zabytków ze swoich okolic jest często niepodobieństwem, zresztą w porównaniu z innemi wydają mu się one mało znaczącymi i nikłymi, co może przynieść całkiem niepożądany skutek, bo wzbudzić lekceważenie rzeczy swojskich. A przecież rola muzeum nie ogranicza się do tego, że jest ono magazynem, do którego należy ściągać ze wszystkich stron pamiątki i rzeczy wartościowe — ma ono zadanie daleko ważniejsze, bo wychowawcze! Eksponat, będący dziełem sztuki, przez swoje piękno wzbudza w człowieku pragnienie doskonalenia się, uszlachetnia go; pamiątki historyczne pobudzają w nim miłość do ojczyzny; okazy z dziedziny etnografii uczą lud cenić swoją kulturę i nie dozwolić zaginać z niej temu, co jest piękne i pożyteczne. Ale najsilniej działa na człowieka to, co jest mu znane i bliskie, a co, jak widzi, jest przez drugih cenione.

Nie mówię przez to, aby okazy, przedstawiające wartość wyjątkową, albo będące unikatami, miały pozostać w muzeum prowincjonalnem — ale podkreślam, że każda okolica powinna posiadać swoje muzeum regionalne, bliskie jej mieszkańcom i oddziałujące na nich. Wtedy dopiero, dzięki uświadomieniu, zostanie zrozumiana powszechnie idea ochrony zabytków.

W Krzemieńcu już kilka razy powstawały projekty założenia muzeum regionalnego, lecz dotąd nie mogły się ucieleśnić. Projektowali urzędnicy krzemienieccy, profesorowie, młodzież licealna, nawet i władze, ale oprócz zrozumienia tej kwestji i inicjatywy jednostek, pozytywniejszych wyników projekty te nie przyniosły. Obecnie z wielką radością trzeba powitać tworzące się „Towarzystwa Krajoznawcze w Krzemieńcu”. Miejmy nadzieję, że po zorganizowaniu się „Towarzystwa” wyłoni się, bo wyłonić się powinna, kwestja zorganizowania muzeum, ku czemu są wszelkie dane. Według mnie, początek przyszłego muzeum regionalnego powinny dać zbiory Koła Krajoznawczego młodzieży licealnej, wśród których dość okazałe reprezentowana jest archeologia, szczególnie z epoki neolitu, oraz w pewnej mierze etnografia. Mam nadzieję, że gdyby omawiane muzeum zostało zapoczątkowane, jego dalszy rozwój byłby zapewniony.

Ileż to zabytków z naszego powiatu ulega corocznie niszczeniu, albo zaprzepaszczeniu w rękach ludzi nieuświadomionych lub niepowołanych! Dowodem, niech będzie wykopana i potłuczona urna rzadkiego typu z epoki neolitu, albo długi sztyłęt gładzony z tylcem, podarowany pisarzowi cerkiewnemu, znalezione we wsi Sapanowie, gdzie corocznie znajduje się masa narzędzi krzemiennych. To samo potwierdza znalezisko z Jankowic, wyorane i zniszczone wraz z grobem szkieletowym i naczyńiem glinianem o ornamentacji sznurowej, w bieżącym roku na wiosnę. Czyż mało okazji dałoby się uzyskać z przebogatych w nie Ludwiszcz? A ileż to pamiątek historycznych znajduje się w rękach krzemienieckich obywateli! Przed paru laty widziałem, jak pewien chłopczyk bawił się szabelką turecką z XVII-go wieku.

W pewnej wsi niedaleko Szumbaru spotkałem ciekawe

stare obrazy religijne z XVIII-go wieku, pochodzące widocznie z jakiegoś kościoła czy kapliczki. A czyż ciekawe rzeźby z piaszkowca, znajdujące się na cmentarzu pobazylijańskim, gdzie zostały zapewne wyrzucone z kaplicy, dziś zasypane ziemią i zarosnięte chwastami, nie powinny doczekać się wreszcie emerytury w muzeum?

A dwie figury, stojące w zaniedbaniu, zniszczeniu i lekceważeniu nawprost cerkwi przy drodze w Młynowcach — czy nie zasłużyły na to?

Wiem, że jest w Krzemieńcu kilku zbieraczy rzeczy pamiątkowych — mam nadzieję, że zostałyby one ofiarowane do zbiorów, gdyby tylko muzeum powstało.

A czyż ciekawe pod względem etnograficznym okolice Krzemieńca nie mogłyby dostarczyć wielu cennych okazów z kultury materialnej naszego ludu?

Powinny się więc w przyszłym muzeum znaleźć takie rzeczy jak: kraszanki wielkanocne, bardzo ciekawe okazy ceramiki malowanej, zbliżającej się pod pewnemi względami do kaszubskiej, ubiory, stroje obrzędowe, narzędzia użytku domowego i sprzęty, niespotykane w innych okolicach Polski, wyszywanki, rzeźby ludowe i tak wiele innych.

Potrzeba tylko uświadomienia, a zobaczymy, że ludzie sami będą znosić różne okazy, jak to robią uświadomieni przez duchowieństwo i nauczycieli włościanie z pod Krakowa, czy Łowicza, od których wpływa co roku masa przeróżnych okazów do Muzeum Etnograficznego w Krakowie.

Muzeum powinno wreszcie otoczyć opieką cenne zabytki architektoniczne, jakich jest wiele w naszym powiecie, oraz rzadkie i ginące już, a charakteryzujące nasze okolice okazy florystyczne np. ostnicą stepowa, owsik Bessera.

Zainteresowanie Krzemieńcem wzrasta — Świadczą o tem liczne wycieczki przybywające nietylko z Wołynia, lecz i z zachodnich krańców Polski, mówi nam również o tem kilkudniowy pobyt profesorki uniwersytetu z Cambridge, p. Onslow, na której Krzemieniec wywarł dodatnie wrażenie, a widok drewnianych

domków, krytych starą, falistą dachówką i gontem przyprawił ją o miłe wzruszenie, gdyż przypomniały jej one krajobraz ojczysty....

Zainteresujmy się więc nim i my sami, mieszkańcy Krzemieńca! Postarajmy się zebrać wszystko, godne tego, co w nim i w pobliżu niego ponieważ się po strychach i składach rupieci i stwórzmy muzeum regionalne, które wzbudzi w nas jeszcze większe umiłowanie tego pięknego grodu.

Na wiosnę odbędzie się w Krzemieńcu zjazd Kół Krajowawczych z całej Polski. Postarajmy się pokazać Krzemieniec ludziom nie jako lichą miścinę kresową, lecz jako miejsce pełne pamiątek, godne Słowackiego, Czackiego, Kołłątaja, Bessera, Beaupré'go i tylu innych wielkich ludzi!

Tworzymy więc muzeum regionalne!



Włodzimierz Danilezuk.

KILKA SŁÓW o SZKOLE POWSZECHNEJ w TURKOWICZACH

gm. WERBA, powiatu DUBIEŃSKIEGO.

Niedługo, bo dopiero dwa miesiące jestem na samodzielnej już posadzie nauczycielskiej, ale mimo to chciałbym się z Wami, koleżanki i koledzy, podzielić wrażeniami, jakie odniosłem, gdyż pracuję w szkole bardzo ciekawej i niezwyklej. Poza tem wszystkim, o czem niżej napiszę, ciekawą ona jest jeszcze z tego względu, że wszystko zostało zrobione przez jednego człowieka, dotychczasowego nauczyciela tej szkoły, p. Sjudaka, z wykształcenia inżyniera rolnictwa, z zamiłowania nauczyciela — wychowawcy.

W roku 1921-szym, gdy poraz pierwszy przybył tu p. Sjudak, na miejscu, gdzie obecnie jest szkoła znajdowały się olbrzymie okopy wojenne. Pierwszym wysiłkiem było wybudowanie budynku szkolnego. Ci, z nas, którzy pamiętają choć jako tako te czasy, mogą sobie uświadomić, na jakie trudności podobna myśl

musiała natrafić. Jednakże nie dano za wygraną i rozentuzjarmowana wieś przy pewnej pomocy Powiatowego Biura Odbudowy wzniosła wcale przyzwoity budynek szkolny. Rozpoczęła się nauka szkolna. Szli do niej parobcy z wosami, młodzież, szły małe dzieci, mające po siedem lat. I to nietylko ze wsi Turkowicz, czy też z kolonji — gdzie tam! Zwożono tu swoje skarby z całej okolicy, wsi odległych o kilkadziesiąt kilometrów, chociaż bliżej były podobne, t. zw. jednoklasowe szkoły powszechne. Pociągała wszystkich wewnętrzna treść tej szkoły, atmosfera, jaką ta szkołka wytworzyła.

Jako naczelne hasło postawił sobie p. Sjudak zasadę następującą: „Podniesienie przez nauczyciela dobrobytu rolnika, temsamem i dobrobytu całego państwa“. Oto idea nauczyciela — wychowawcy! Postanowił więc przez młodzież i społeczeństwo starsze podnieść kulturę rolną w danej miejscowości bez uszczerbku jednak ogólnie — kształcącego charakteru szkoły. Od stanu ekonomicznego zależy przecież rozwój kulturalny i stanowisko polityczne państwa. Rzeczywistość wymaga tego, żeby na to zagadnienie zwrócić baczną uwagę w całej Polsce, a specjalnie u nas na Wołyniu, gdzie mimo olbrzymich nakładów finansowych i pracy rządu, kultura rolna stoi na bardzo niskim poziomie. Poza tem postanowił sobie uczniów swoich nietylko nauczać, ale i wychowywać na prawdziwych przyszłych obywateli, wzniecić w ich sercach znicz miłości do ziemi ojczystej, przygotować ich do przyszłego życia.

Jednakże aby to osiągnąć, trzeba zdobyć sobie nietylko zaufanie dzieci i ich rodziców, ale także zapewnić raz na zawsze współpracę szkoły z domem rodzinnym dziecka.

To były rozumowania i założenia p. Sjudaka, w ślad za czem nastąpił czyn.

Życzliwy i serdeczny stosunek do włościan zjednał mu nietylko mieszkańców wsi i kolonji Turkowicz, ale całą okolicę bodajże w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Wymagało to i wymaga ogromnej cierpliwości, bo aby ta konsolidacja trwała stale, trzeba pracować nie sześć, ale siedem dni tygodniowo. Niedziela jest tu dniem najbardziej intensywnej pracy i największej

szego wysiłku. Od wczesnego rana do późnej nocy roi się w szkole od „interessantów“, którzy w każdej sprawie idą po radę do nauczyciela. Co pewien czas odbywają się konferencje z rodzicami, na których omawia się sprawy bieżące natury gospodarczej, wychowawczej, zagadnienia higieny, odżywiania dzieci i i.. Cała wieś bierze zawsze najczynniejszy udział w życiu szkoły. Obchody rocznic narodowych, organizowane są zawsze przez specjalnie ku temu celowi powoływane komitety. Specjalnie uroczyście obchodzi się początek i zakończenie roku szkolnego, w których bierze udział cała wieś.

Nim przyjdę do scharakteryzowania metody nauczania i wychowania, muszę nadmienić, że władze szkolne widząc, że mają do czynienia z człowiekiem nieprzeciętnym, w dowód zaufania pozostawiają mu swobodę pracy, nie krępując go programem, obowiązkami 45 czy 50 — minutowych lekcji i. t. p. Tworzy się więc typ szkoły doświadczalnej, w której wypróbowuje się różne sposoby, któreby dały pomyślne rezultaty na tutejszym gruncie i w takich warunkach.

Jeżeli chodzi o nauczanie, to uderzają tu każdego dwie rzeczy: 1 — to koncentracja przedmiotów nauczania i 2 — to nauka, oparta na pracy dzieci. Szufladkowania przedmiotów niema tu wcale, bo jeśli chcemy przygotować dziecko do przyszłego życia, musimy je zaznajomić z tem życiem, z tem, z czem będzie miało potem do czynienia. Życie — to poplątany cały szereg zjawisk przyrodniczych, ludzkich i historycznych. Nie można się ograniczać jedynie do podania dziecku pewnego kompleksu wiadomości materialnych, lecz trzeba to dziecko rozwinąć formalnie, przygotować do nauki, która będzie trwać całe życie, do ciągłego i systematycznego samokształcenia się. Musi więc dziecko naukę ukochać, zdobyć w szkole metodę późniejszego samokształcenia się i umieć swoje wiadomości zastosować czy wykorzystać w życiu. Zdarza się przecież często, że spotykamy uczniów szkół powszechnych siedmioklasowych, którzy mimo to, że opanowali dobrze pewne przedmioty, nie potrafią napisać ani listu, mimo to, że potrafią teoretycznie obliczać pola wieloboków, objętości ośmio, - czy dwunasto - ścianów, nie obliczą powierzchni swego ogrodu prostokątnego czy kwadratowego, ani

objętości stogu sprzedawanego siana.

Szkoła powszechna wiejska t. zn. taka, której uczniowie przeważnie uczyć się dalej nie będą, lecz osiądą na roli i wejdą bezpośrednio do życia, takich uczniów wypuścić nie może,

Aby wypuścić na świat człowieka — powiada na podstawie swej długoletniej praktyki p. Sjudak — nie można przedmiotów nauczania od siebie przegrodami oddzialać, lecz przeciwnie, trzeba je łączyć tak, by się nawzajem uzupełniały i stanowiły jedną całość: przygotowanie do życia. Stąd niema tu poszczególnych przedmiotów, lecz pewne cykle, które trwają zależnie od obfitości posiadanego materiału, warunków i okoliczności, dzień, kilka dni, lub kilka tygodni. Specjalnością i — jak to się po naszymu mówi — „konikiem“ p. Sjudaka jest przyroda i tu dowodzi on z dziećmi naprawdę cudów. Nie znaczy to, żeby inne przedmioty były w zaniedbaniu, przeciwnie, wszystko ma tu swoje stałe „miejsce“ i znaczenie, jednak najczęściej zagadnienia przyrodnicze stanowią ośrodki, wokoło których grupują się inne przedmioty.

Nowy materiał wprowadza się jako pewnego rodzaju konieczność. Rozpatrując jakieś zagadnienie, dochodzi dziecko prawie do rozwiązania, gdy nagle staje przed nim smutna rzeczywistość w rodzaju np. takiej: jak podzielić całość przez ułamek, lub obliczyć $\%$ zniszczonych posiewów? Nauczyciel wtedy zapowiada, że nauczy, jak to zagadnienie rozwiązać, a uradowane dzieci z entuzjazmem chwytają sposób rozwiązania i kończą zagadnienie. Nie należy tego zrozumieć źle i pomyśleć, że się wprowadza pewne rzeczy nie we właściwym czasie. Nowy materiał wprowadza się wtedy, gdy się ma wyraźną pewność, że poprzedni został zupełnie już przyswojony i zmechanizowany, jeżeli chodziło rachunki, gramatykę i t. p.

Pozatem drugą ciekawą rzeczą jest to, że nauka w szkole jest oparta na własnej, najczęściej samodzielnej pracy. Jest to do pewnego stopnia nieunikniona konieczność w warunkach, kiedy jeden nauczyciel uczy 4 czy 5 oddziałów i musi stosować jako zajęcia ciche samodzielną pracę uczniów. Ale bynajmniej nie dlatego ją się stosuje. Czem jest samodzielna praca i jakie znaczenie ma w nauczaniu a nawet w wychowaniu, każdy sobie

zdaje dokładnie sprawę. To już wystarcza, aby ją kultywować. U p. Sjudaka przemawiały jeszcze napewno i inne względy. Chcąc podnieść kulturę rolną okolicy, musi się wykonać dwie prace: 1 — to wyszukać te bolączki, które tak znacznie osłabiają naszą produkcję i 2 — to znaleźć skuteczne sposoby zapobiegawcze. Gdy nauczyciel sam je wskaże, nie odniesie to wielkiego wrażenia. Inaczej będzie, gdy dzieci, kierowane umiejętnie, lecz zdalą, ręką nauczyciela, wynajdą tego szkodnika i co najważniejsze, obliczą jaknajdokładniej szkody, jakie on wyrządza. Stąd praca w poletkach doświadczalnych, w których się sieje zboże oczyszczone i nieoczyszczone, niszczy się chwasty i pozostawia się część z chwastami i t. p. Dzieci więc dochodzą do tego, że na tak niską naszą produkcję wpływają chwasty, choroby i pasorzyty, nieoczyszczanie nasion przed siewem i złe gatunki ziarna. Obliczyły same, że kaniańka obniża plon siana od 12 do 28% na h., śnieć w pszenicy i owsie od 21 do 39%, sporysz w życie do 19%, ogólne zanieczyszczenie ziarna do siewu do 30%, w wysiewanym ziarnie jest od 10 do 12% nasienia różnych chwastów, które nieświadomy rolnik wysiewa na pole i jeszcze więcej je zachwaszcza. Suma sumarum, wyliczone tu szkodniki wraz z rodzinami chwastami gleby obniżają plon o 40%. Wprowadźmy teraz racjonalną obróbkę ziemi, odpowiednie nawozy, a zobaczymy, jak będziemy wtedy żyć. Podobne lekcje przeprowadza p. Sjudak z dziećmi wobec zgromadzonych rodziców, którzy widząc smutną rzeczywistość, „łapią się za głowy“ ze zmartwienia, że, jak to oni mówią: „czerez takyjji durnyci — stilki propadaje“. Do przeprowadzenia podobnej pracy o charakterze rolniczym nie potrzeba znowuż specjalnego wykształcenia. Wystarczy przeczytać kilka popularnych broszur, a dopiero, żeby w życie pewne zasady wprowadzić, trzeba się odpowiednio do tego zabrać. Obserwacje nad plonami zasiewów prowadzi się tu od 1922 roku i ma się obecnie ciekawy materiał porównawczy.

Jest to więc typowa regionalna szkołka, która trzyma dłoń na pulsie życia okolicy i nie traci z oczu zasadniczej myśli t. j. problemu budowy i rozwoju państwa. Ogromne usługi oddaje nam kronika miesięczna, w której zapisuje się zestawienia meteorologiczne za dany miesiąc, wypadki miejscowe i szkolne, wiadomości ze świata (wycinki z gazet), ciekawe zwyczaje i

obyczaje oraz wierzenia ludowe.

Ogromną uwagę zwraca się na wychowanie młodzieży, bo przecież każdy sobie z tego jasno zdaje sprawę, że taka będzie przyszłość, jaką okaże się ta młodzież, którą my dziś wychowujemy. Tu na Kresach jest to problem bardzo trudny, bo często trzeba zwalczać wpływy złych ludzi, którzy godzą w całość czy dobrobyt Państwa Polskiego. Trzeba wykazać rodzicom i dzieciom, o ile co rok polepszają się u nas stosunki, porównać ze stosunkami naszych sąsiadów, wskazać na to, że przecież rząd, jakiby on nie był, nigdy wszystkim nie dogodzi, porównać to ze stosunkami w rodzinie, składającej się nie z 30.000.000 ludzi, lecz z 4 — 6 osób. Bardzo ciekawie rozwiązał p. Sjudak w jednej ze swoich lekcji narzekania na podatki, jakie istnieją w Polsce, podając umotywowane przyczyny tego stanu rzeczy i wyciągając wnioski. Tego rodzaju aktywne stanowisko do zjawisk życiowych mogłoby zmniejszyć narzekania i polepszyć stosunek ludu do administracji.

Kwitnie tu krajoznawstwo w całym słowa tego znaczeniu, choć bez koła krajoznawczego. Wzniera się w dzieciach miłość do ziemi rodzinnej, poszanowanie do wytworów kultury ludowej, urządza się moc wycieczek krajoznawczych kilkudniowych, z których potem dzieci piszą wcale ładne i rzeczowe sprawozdania.

Odpowiednie pogadanki i omawianie wydarzeń szkolnych doprowadziły do tego, że niema między dziećmi większych za targów, a o ile takowe są, to nauczyciel o nich dowiaduje się pośrednio w kilka dni po wypadku.

Same dzieci między sobą wszystko załatwiają. O zdrowym stosunku, jaki tu zapanował, niech zaświadczy wypadek, którego byłem świadkiem w kilka dni po przyjeździe. W czasie lekcji, jeden z chłopców z III. oddziału zamiast odrabiać zadany temat, kręcił się w ławce i przeszkadzał innym. Upomniałem go kilkakrotnie i powiedziałem, że jeżeli się nie uspokoi, wyrzucę go z klasy. W czasie tego jeden z uczniów V. oddziału pokazał mi zaciśniętą pięść, na którą wcale uwagi nie zwróciłem. W czasie przerwy usłyszałem przez drzwi odgłosy „razów“ i słowa: „czekaj — no, zanim cię nauczyciel wyrzuci ze szkoły, to ja ci

tak dam, że ty nie będziesz nas śmieszył przed nowym nauczycielem". Ta krótka koleżeńska perora odniosła skutek wymienity. Uczniowie starsi widząc, że obdarzamy ich zaufaniem zachowują się jak można najlepiej i nigdy nie nadużywają ani zaufania, ani swej siły wobec młodszych. Jeżeli ktoś chce zrobić coś złego, to inni mu nie pozwolą. Radosna atmosfera szkoły, częste wycieczki do obcych szkół, miast, rozwijają dzieci i pozbawiają ich wrodzonej nieśmiałości. Opieka nad szkołą, porządkiem w klasie, na podwórzu i t. p. powierzona jest dzieciom.

Ostatnio zorganizowaliśmy spółdzielnię uczniowską, zaczęliśmy nadal prowadzić drużynę P. W., oraz wprowadziliśmy tygodniowe zebrania, na których przeprowadza się jakieś okolicznościowe pogadanki, czyta się ciekawe wiadomości ze świata, śpiewa się pieśni ludowe, omawia się zebrane, czy polecone do zbierania materiały krajoznawcze. To ostatnie ma w szkole wiejskiej bardzo ważne znaczenie, bo gdy wieśniacy zobaczą, że szkoła szczerze interesuje się wytworami ich kultury materialnej i duchowej, śpiewa ich pieśni, gromadzi wyszywanki i t. p., to przestaną sami się wstydzić swojej kultury i będą ją nadal kultywować, prócz tego, wtedy, często zupełnie nieświadomie, zadzierzną się między szkołą a domem rodzinnym dziecka serdeczne więzy przyjaźni, które umożliwiają pracę i dadzą nauczycielowi wewnętrzne zadowolenie.

Tyle w krótkości o naszej szkole. Nie jest to wszystko, co możnaby tu ciekawego zobaczyć, bo o niektórych rzeczach trudno napisać, trzeba tu do nas przyjechać i na miejscu obejrzeć. Staralem się tylko w zasadniczych liniach skreślić to, co można zrobić, rozporządzając jedną salą, zupełnym brakiem pomocy naukowych, dobrymi chęciami i zamiłowaniem do pracy.

Wiem, że po przeczytaniu tego artykułu, uznacie pewne rzeczy za niestosowne i złe z punktu widzenia pedagogiczno — dydaktycznego, to też musicie jednocześnie uświadamiać sobie w jakich warunkach praca się odbywa i czy da się coś więcej zrobić. Podzielę się więc tu z Wami swymi osobistymi wrażeniami, t. zn. temi osobistymi, którymi się jeszcze można dzielić z innymi.

Sala szkolna 1 (jedna), nauczycieli 2 (dwóch), oddziałów 5 (pięć). Pomoce naukowe: jest ich trochę do przyrody: barometr, zegar i narysowana niedawno przezemnie na tablicy na podstawie mapy Romera mapa Polski w skali... trudno zdecydować, jakiej. Dzieci, jak to wogóle dzieci, są nawet zupełnie zdolne, ale są i „tumanki“. Trudno — rzeczywistość! Radzimy więc, jak się da. Zrana od 8—mej do 12⁵⁰ uczę jednocześnie oddziały: III—ci, IV—ty i V—ty (zapomniałem dodać jeszcze, że jestem zarazem wychowawcą wszystkich tych trzech oddziałów), po południu pan kierownik Sjudak oddział I i II. Powiecie może: pierwszy komplet rozbić na dwa. Ja też tak myślałem, ale p. Sjudak udowodnił mi, że dnia na to już nie wystarczy, a na nocne zajęcia „nie pozwala się“.

Trudne trochę był dla mnie początki z trzema oddziałami jednocześnie, ale że to „nie świeci garnki lepią“, więc i ja zacząłem sobie dawać radę. Ostatnio wcale dobrze ułatwiłem sobie pracę, zadając zajęcia ciche dla każdego oddziału od razu na cały tydzień. Wprowadzie roboty jest może nawet więcej, ale uważam, że daje to lepsze—rezultaty. To moje nowe „coś“ jest zbliżone nieco do systemu indywidualnej pracy Mackinder, jednak i od niego się trochę różni. Szczegółowej o tem Wam napiszę wtedy, gdy przekonam się, że rzeczywiście daje lepsze rezultaty, niż system tradycyjny, stosowany w szkole, gdzie się uczy trzy oddziały jednocześnie.

Chciałem Wam napisać o innych troskach i niespodziankach najrozmaitszego typu, ale wycofałem tę myśl, bo się pewnych rzeczy obawiam i zresztą wtedy posada nie przedstawiałaby dla Was nic ciekawego.

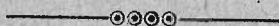
O jednym tylko jeszcze chcę wspomnieć. Pamiętam, jak w zeszłym roku rozprawialiśmy na temat teorii a praktyki szkolnej. Biedną teorię, w tajemnicy wprowadzie przed nauczycielstwem, ignorowaliśmy zupełnie. Inaczej będziecie się na tę rzecz zapamiętywać po dwumiesięcznej choćby praktyce. Chwycicie napewno wtedy za książkę, chcąc dokładnie poznać czy psychikę dziecka, czy najnowsze metody nauczania, czy też coś innego. Często zdarza się, że niektórzy omijają doskonałą sposobność zaznajo-

mienia się dokładnego z tem w seminarjum, ale potem żalują gorzko i piszą do kolegów z prośbą o wskazówki, jak tego uczynić, a jak w takim wypadku postąpić, a co tu mam zrobić. Pisanie listów z poradami jest rzeczą wskazaną i przyjemną czasem, ale chodzi tu o sam fakt, że można było tego się nauczyć, ale się nie chciało. Notatki z wykładów metodyki poszczególnych przedmiotów mają na posadzie bezcenną wartość, choć w szkole są lekceważone.

Jedna tylko jest bolączka, że my, idąc na posady, za mało znamy rzeczywiste szkoły powszechne wiejskie, a to potem odbija się na początkach naszej pracy. „Szkoła Ćwiczeń”—to w żaden sposób nie moja szkoła w Turkowiczach, zresztą o tem napiszę kiedyś.

Kończąc, w imieniu p. Sjudaka i swoim zapraszam Koleżanki i Kolegów z V i IV kursu przedewszystkiem, utartym już szlakiem, na wycieczkę do Turkowicz!

Turkowicze 10/XI 1929 r.



Marja Sołtykiewiczówna.

OBRZĘDY I ZWYCZAJE ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA, ORAZ NOWEGO ROKU.

Zastanawiając się nad zwyczajami, które występują w okresach różnych świąt i są rozpowszechnione wszędzie, a szczególnie u ludu wiejskiego, przekonamy się bardzo łatwo, że wielka ich część jest pozostałością z czasów jeszcze pogańskich.

I tak w okresie, w którym obecnie obchodzimy Święta Bożego Narodzenia, w czasach pogańskich istniało święto, które obchodzono bardzo uroczyście. Święto to było poświęcone chwili przesilenia dnia z nocą i było świętem wesela, przynoszącem dużo radości. Oprócz tego istniały jeszcze inne święta, na przykład w Cesarstwie Rzymskiem jeszcze do roku 354 obchodzono, jako święto państwowe, dzień urodzenia bożka słońca Mitrasa. Na

dzień 17 grudnia, przypadało święto rzymskie t. zw. „Saturnalia”, z którego pozostał do naszych czasów zwyczaj dawania świątecznych podarków. W tymże samym miesiącu obchodzono także germańskie święto „Jula”.

Nasze święto Bożego Narodzenia obchodził poraz pierwszy papież Liborjusz w Rzymie, po roku 354. Nowe to święto rozpowszechniło się niebawem po krajach północnej i wschodniej Europy. Pierwiastki pogańskie, występują najwięcej w zabawach, przesadach i potrawach, spożywanych w czasie świąt. Jedzenie np. ryb w czasie świąt B. N., a szczególnie karpi, rozpowszechnione najwięcej w państwach, położonych na północy, jest zwyczajem, sięgającym w pogańskie czasy, gdyż karp był poświęcony germańskiej bogini Frei. Najściślejszy związek z pogańskimi czasami wskazuje pieczywo świąteczne, wypiekane w północnych krajach Europy w pewnych formach, jak np. w postaci zwierząt, poświęconych i ofiarowywanych niegdyś bożkom. Jedząc np. struclę, nikt nie domysla się, że już od 500 lat jest ona produktem niemieckim. Strucla ma symbolizować Dzieciątka Jezus, owinięte w pieluszki. Następnie wynalazek pierników, przypisywany mnichom, historią swą sięga aż roku 1300, o czym mamy wzmianki w kronikach miasta Norymbergji, które obok Torunisa, Metzu, ulmu i Bazylei, słynęło z ich wyrobu. Dzisiejsze pierniki, tak nieodzownie wchodzące w skład bakalijs wigilijnych, są niczem innym, jak tylko rodzonemi braćmi tych, z przed lat 600, które nosiły jeszcze na sobie odbliski bożków pogańskich i zwierząt im poświęconych.

Nasze rumiane jabłka, figlarnie zerkające prawie z każdej choinki, były dawniej u greków symbolem młodości, a poświęcone swej bogini Idunie, miały swoje miejsce zaszczytne podczas germańskich świąt „Jula”.

W skład popularnych zabaw świątecznych wchodzi u nas w pierwszym rzędzie jasełka i szopka, która ma początek około roku 330. O jasełce słyszymy trochę później, bo dopiero pod koniec czwartego wieku. Zwyczaj ubierania na B. Narodzenie drzewka, przyszedł do nas z Francji, i jest zwyczajem wprowadzonym stosunkowo najpóźniej. Wieczór i noc wigilijna związane są z całą masą wróżb, przesądów i legend. U niektórych narodów,

jak np. u Anglików, Hiszpanów, Włochów, jest zwyczaj zapalania świec, a nawet całych ognisk podczas wigilii św. B. N. Jest to zwyczaj pogański, związany ściśle z wielkim kultem, jaki był dawniej dla ognia. Jeżeli teraz od przykładów ogólnych przejdziemy do zwyczajów i obyczajów w Polsce, to zauważymy, że we wszystkich dzielnicach mają one indywidualne, odrębne cechy. Szczególnie oryginalnymi zwyczajami odznacza się lud podhalański, bardzo przywiązany do pewnych nawyków, które częstokroć przechodzą w zabobony. Niczem dla podhalanina byłoby święta, gdyby nie były związane z szeregiem wierzeń i praktyk zabobonnych. Szczególnie wróżby mają wielkie znaczenie podczas świąt B. N., od których zależy całoroczne powodzenie, lub też nieszczęście. Koroną dni wróżebnych jest dzień wigilijny, stanowiący wyrocznie wypadków całego roku, to też wszyscy zwracają na siebie uwagę, aby w dniu tym nie było nic zaniedbane, gdyż niedomagania dnia tego uiszczą się na roku następnym. W wigilię biorą się wszyscy z przejęciem do pracy. Tradycyjnem jest zwożenie drzewa z lasu, po które wyjeżdżają z domu raniutko, aby czasem nie spotkać się na drodze z najgorszym pechem tego dnia — kobietą. Po szczęśliwym powrocie udają się wszyscy do karczmy, aby tam dopełnić zwyczaju corocznego pociągnięcia z butelki, co jest koniecznem dla powodzenia osobistego, rodziny, a nawet i inwentarza. Co jest jednak charakterystycznem, że w dniu tym niema w domu żadnych swarów, kłótni, wszyscy powaśnieni godzą się ze sobą i starają się odtąd żyć w zgodzie. Gospodynie muszą w tym dniu pilnować uważnie swego gospodarstwa, gdyż w czasie odwiedzania się gromadnego, co jest w zwyczaju, przepadają różne rzeczy — i nic dziwnego, przedmiot ukradziony w wigilię przynosi, według mniemania ludu, wielkie szczęście na cały rok.

Lecz kłopoty tego rodzaju kończą się z ukazaniem się pierwszej gwiady. Uroczystem wniesieniem snopka zboża do izby rozpoczyna się uroczystą wieczerę wigilijną, w czasie której potrawy rozdane są w pewnym określonym porządku. Po wieczerze następują nowe wróżby. Na plan pierwszy wysuwają się teraz dziewczęta i chłopcy. Zaraz po kolacji wybiegają dziewczęta przed chatę i nasłuchują, z której strony pies zaszczeka, bo z tamtej strony przyjdzie jej przyszły mąż. Jeżeli zaś przed-

stawiciel psiego rodu zawyje, to znak nieodzowny, że dziewczyna zostanie starą panną. W wigilję są też t. zw. podłazinki, czyli odwiedzanie przez chłopców dziewcząt, względem których mają poważne zamiary. Czasem chłopcy zmówiwszy się, chodzą umyślnie gromadami do domów brzydkich panien, gdzie są suto przyjmowani, kandydatki zaś do stanu małżeńskiego nie przeczuwając nic złego, są z tego mocno zadowolone. Zwyczaj ten odbywa się w ten sposób, że chłopcy ubrani w sukmany, wchodzą do domu i składają życzenia w słowach:

Coby wom się darzyło, mnożyło
w każdym kątku po dziesiątku,
zawdy dobrze, w komórce, w oborze.
Na nowy Rok, coby wom wypod z pieca bok.
Cobyście mieli owiecek, kielo w lesie mrówecek,
Cobyście orali śtyroma koniami,
Jak nie trzema to dwoma,
Jak nie dwoma to jednym,
ale co godnym.

Po życzeniach zapraszają gospodarze do stołów gości, których obsługują skrzętnie niewiasty, jednak z nimi do uczty nie zasiadają, bo to obraza i ubliżenie.

Pierwszy dzień jest świętem zupełnego odpoczynku i żaden góral nie odważy się spełnić najmniejszej posługi. Charakterystycznym rysem drugiego dnia jest to, że ludzie schodzą się na drogach, sypiąc na siebie owsem, kończąc zabawę uroczystością piosenką:

Ześliśmy się ześli, to se zaśpiewajmy,
Ręcuski na zgodę razem się podajmy.

Na Wołyniu mamy również bardzo ciekawe zwyczaje, praktykowane w czasie świąt Bożego Narodzenia, które tak jak wszędzie, nie mogą się obejść bez wróżb i zabobonów. Jeszcze przed przyjściem świąt jest czyniony szereg przygotowań a każdy dzień i każde zdarzenie ma swoje wielkie znaczenie pod względem praktyk wróżebnych. Nawet prozaiczne pieczenie ciasta jest owiane nimbem nieodzownych przepowiedni, np. gdy trafi się w czasie pieczenia bułek, że która z nich popęka, to pewne

ktoś umrze w rodzinie.

Przed samą wigilią jest zwyczaj zaścielania izby słomą, na pamiątkę narodzenia się Pana Jezusa w stajencie. Słoma ta przyniesiona w dzień wigilijny, leży w mieszkaniu przez całe święta. Całą izbę ubiera się odświętnie i na honorowym miejscu pod obrazami stawia się snopek niewymłóconego żyta i garnek tradycyjnej „kuti“, która jest nieodzowną świąteczną potrawą ludności Wołynia, Polesia, i Wileńszczyzny.

Stół wigilijny musi być zasłany nowym obrusem, pod który podścielane jest siano. Sama kolacja jest bardzo sutą i uroczystą; składa się bowiem z dwunastu potraw, a każda potrawa ma swoje symboliczne znaczenie.

Groch symbolizuje łzy Matki Boskiej. Kutia musi być jedzona obowiązkowo z jednej miski na znak zgody i jedności w rodzinie. W ciągu wieczery następują dalsze wróżby z kutią, którą rzuca się na sufit — jeżeli się ona tam przylepi, to znak dobrego urodzaju. Kutia ta, przylepiona na suficie, zostaje aż do Wielkiejnocy. Drugi dzień świąt jest przeznaczony na wizyty i zabawę, która często trwa aż do białego dnia. Od Bożego Narodzenia do samego Nowego Roku, trwają t. zw. „święte wieczory“; W dzień Nowego Roku, jest zwyczaj obsypywania się rano owsem. Ludność wołyńska inny temu zwyczajowi przypisuje symbol niż podhalanie, albowiem owies na Wołyniu w tym dniu jest wyrazem zdrowia.

Jeśli jednak spotka się ktoś z nieżyczliwym sobie, to niech uważa, by go nie obsypał gryką, gdyż cały rok nie będzie mógł opędzić się od pcheł.

Bardzo ciekawa jest historia powstania święta noworocznego. Święto to, które teraz obchodzimy w dniu 1-go stycznia, nie zawsze było obchodzone w tym czasie. Nim zapadło ostateczne uchwalenie tego święta, długo się mozolono, bo już nawet wtedy, kiedy dobrze zdawano sobie sprawę, że pory roku tworzą pewną całość i powracają ciągle w niezmiennym porządku, nie umiano sobie poradzić z tem, gdzie jest początek tej całości. Nie wiedziano, czy przyjąć za pierwszą tę porę, w której zamiera przyroda — zimą.

Rzymianie, którzy przypisywali początkowi roku budzenie się przyrody, przyjęli za takowy wiosnę. Tak trwało do II-go wieku przed Chrystusem i dopiero w roku 153 przeniesiono to święto na dzień 1-go stycznia, biorąc za podstawę długość dnia. Tak jak ze świętem Bożego Narodzenia, tak i ze świętem Nowego Roku wiązał się szereg zwyczajów, które przyjęliśmy od pogan. Dzień ten w Rzymie był bardzo uroczyście obchodzony, święto to było bowiem świętem państwowem, czcili go nowoobrani konsulowie rzymscy, którzy w dniu tym w uroczystym pochodzie wkraczali na Kapitol.

Dzień ten, jako początek roku, świadczył o jego przebiegu, dlatego to każdy z obywateli rzymskich starał się dobrą wróżbą go rozpocząć. Bliscy i znajomi składali sobie życzenia i upominki. Przesyłało się sobie chętnie gałązki wawrzynu, lub palmy, jako symbolu sławy i pokoju. W dniu tym składano ofiary Jowiszowi i Janusowi, który był bogiem dobrego początku.

W czasach już chrześcijańskich zaczęto potępiać obchodzenie tego święta, jako czysto pogańskiego. Ojcowie kościoła oburzali się na te uroczystości, za złe biorąc ludowi, że bawi się i ucztuje w dni świąteczne, co im nadaje charakter pogański. Wreszcie na soborze w Turs w 567 r. postanowiono skasować te obrzędy, a dzień 1-go stycznia miał być dniem postu i pokuty. Jednak pomimo to wszystko przyzwyczajenie i tradycja do tego stopnia były zakorzenione u ludu, że musiano te święta pogodzić ze świętami chrześcijańskimi, postanawiając dzień 1-go stycznia uznać za oktawę Bożego Narodzenia, nie łącząc go wcale ze świętem noworocznem. Lecz i to się nie udało, bo nie tylko uroczystości dnia tego pozostały, ale nawet pogańska treść jego dotarła do ambon, z których bardzo często składano ludowi życzenia noworoczne.

Teraz już śmiało możemy powiedzieć, że święto to przyjęło się powszechnie w całym cywilizowanym świecie, bez względu na warstwy społeczeństwa. Lud szczególnie uroczyście ten dzień obchodzi, wiążąc z nim szereg wróżb i zwyczajów.

Jerzy Chomętowski.

RÓWNE — JANOWA DOLINA — GRÓDEK.

Oddawna w planie naszych wycieczek widniała pozycja: „Bazalty wołyńskie“, pozycja niewypełniona do tego czasu. To też ucieszyliśmy się bardzo, gdy zgola niespodzianie wypłynął projekt jazdy do Janowej Doliny. Jak to się dziwnie w życiu składa! Wybieraliśmy się uczcić Sobieskiego, idąc szlakiem okrężnym: Podkamień, Podhorce, Olesko, Brody, a tymczasem z powodu... (lepiej nawet nie mówmy o tym powodzie), tymczasem powędrowaliśmy na północ, a wycieczka krajoznawczo — historyczna przerodziła się w krajoznawczo — geologiczną. Tak to bywa, powiadają starsi...

Dość, że mieliśmy się zebrać na zbiórkę 4-go października o godz. 21³⁰ minut, by się nie spóźnić na pociąg, który rusza o godz. 23²⁰ minut. Przyszliśmy wobec tego już o godz. 20³⁰ i złożywszy plecaki na drabiniasty wóz, ruszyliśmy ku stacji. Miejsca w nieoświetlonych wagonach było dość, mieliśmy się zdrzemnąć w myśl instrukcyj opiekuna, ale duch ochoczy, ciało młode, więc oporne, i ze spaniem było niewyraźnie.

Koniec końcem jesteśmy rano w Równem, gdzie mamy parę godzin czasu do odejścia pociągu w stronę Sarn, kierunku naszej wycieczki. By zabić czas, chodzimy po mieście. Byliśmy w kościele „polichromowanym“, w cerkwi i wreszcie udaliśmy się ku pałacowi Lubomirskich, którego resztki murów, ocalałe po pożarze, jaki parę lat temu pochłoniął pałac, sterczą smutnie. Równe, największe miasto wołyńskie, ma wygląd niepociągający, jest to miasto zupełnie odmienne od reszty miast i miasteczek Wołynia, gdzie każdy kamień opowiada...

Bez żalu odjeżdżamy do stacji Kołopol, skąd mamy ruszyć do bazaltów. W Kołopolu opuszczamy P. K. P. i dowiadujemy się, że „do samego środka do jądra gęstwiny“ wiedzie tor, po którym krąży kolej, ale należąca już nie do Ministerstwa Kolei, a do Ministerstwa Robót Publicznych. Szukamy więc stacji kolejowo — niekolejowej i znajdujemy ją. Niezwykle uprzejmy

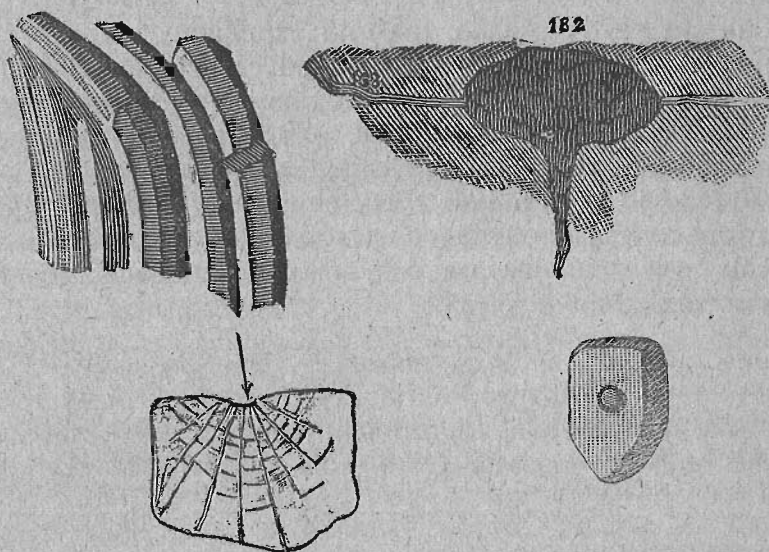
p. kierownik ruchu porozumiewa się z kopalnią i oświadcza nam, że zamawia dla nas specjalny pociąg. Rozumiecie? Specjalny pociąg!...

Jak na każdy pociąg, tak i na „specjalny“ trzeba czekać, więc wynajdujemy urocze miejsce nad rzeczka i palimy ogień, by sporządzić sobie obiad. Rzeczka nosi nazwę „Staw“, co dosadnie określa wartość jej biegu. Obiad wspaniały, (zasługa koleżanek), ogień przepyszny (zasługa kolegów), aniśmy się spostrzegli, gdy wartownicy dali znać, że pociąg z oddali nadjeżdża. Opuszczamy to miejsce, obiecując sobie doń powrót wieczorem i czekamy poważnie, jak na dostójników, jadących specjalnymi pociągami, przystało:

Jest już! Aż się oczy zaświeciły, bo zjawiała się lokomotywa z Pulmanem: Prawdziwy Pulman, tylko trochę krótszy, robotnicy Lilpop, Rau, Löwenstein zapomnieli nałożyć nań karoserję (czy jak to się nazywa), zostały tylko koła i podwozie: czy nie rośkosz tem jechać?...

Sprokurowano nam deski, by była wygoda. Śpiewamy i flegmatycznie ruszamy. Pociąg pięknie sunie między stare, piękne wołyńskie lasy, po nowym, ślicznie utrzymywanym torze, a p. kierownik objaśnia nam, że ta kolej, ma 22 km. długości, a zrobiono ją w tym roku dla celów kopalni. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, co to zdanie „22 km. toru zrobiono“ znaczy, nie chcemy o tem myśleć. Poimy się tylko widokiem okolicy, wonią lasów, pędem pociągu. Zajeżdżamy. Pola zasłane kamieniem, ruch ludzi, koni, stukot i dźwięk metaliczny — oto pierwsze wrażenia. Wsiadamy, i wita nas p. dyrektor Szutkowski, oraz techniki, i oprowadzają nas uprzejmie po kopalni, udzielając objaśnień.

Teren Janowej Doliny, dziś eksploatowany, to obszar znaczny, obejmujący do 10 ha., jest lakkolitem, którego miąższość stwierdzono do głębokości 15 m. przy pomocy maszyn wiertniczych. Rozumie się, że sięga on i głębiej, tylko maszyny, którymi przeprowadzano próbę wiercenia, nie sięgają niżej 15 m. (rys. 2.)



Schodzimy na miejsce, gdzie odbywa się praca. Widzimy zrazu pod warstwą gleby kawały bazaltu, ale wykształcone nie słupowo, a w formie jajowatej, o średnicy 10-14 cm. Gdzieś tam opadają z kul tych łuski bazaltowe, i trudno nam sobie wytłomaczyć genezę tych wielkich jaj, a forma ich nasuwa myśl o bombach wulkanicznych.

Niżej widać odkryte złożę: zaznaczają się dwie odbijające od siebie kondygnacje: górna — to graniastosłupy lekko wygięte i nachylone, dolna — to graniastosłupy, prostopadłe do poziomemu. (rys. 1) Te dwie kondygnacje, to dwie fazy życia wolińskiego wulkanu, dwa etapy nasilenia pracy wybuchowej. Graniastosłupy są bardzo pięknie wykształcone i dochodzą do bardzo dużych rozmiarów; średnica ich przekroju waha się od 85 do 100 cm.

Eksploracja ich odbywa się w ten sposób, że klinami

odbija się duże słupy bazaltu, poczem wystarczy zaledwie parę uderzeń młota, by odłamały się kawały kamienia. Do takiego łupania używają młotów tępych, lekko zaokrąglonych, w przeciwieństwie do granitów, których łupanie dokonywuje się przy pomocy młotów ostrych (rys. 4.). Uderzenie młota powoduje dającą się okiem zauważyć zmianę w budowie kamienia, mianowicie tworzą się współśrodkowe koła, rozchodzące się od miejsca, w którym nastąpiło uderzenie (rys. 3).

Tego rodzaju regularna łupliwość w pewnych kierunkach, zależnie od uderzeń, ułatwia eksploatację i powoduje, że można szybko wykonać piękne kostki brukowe. Teraz staje się jasnym, dlaczego bazalt wypiera z pewnych dziedzin granitowe kostki: posiada wytrzymałość taką samą (2200 kg. - cm.²) jak i granit, a wydostawanie i obróbka łatwiejsza i szybsza. Na taniość bazaltu z Janowej Doliny wpływa przedewszystkiem to, że narażenie nie pracuje się we wodzie (jak w sąsiednim ogólnie znanym z podręczników Berestowcu), gdyż kamieniołom leży 20 m. nad poziomem Horynia. Gdzie prace postępują wgłąb, tam trzeba już wodę usuwać pompą.

Dziś przy samej obróbce zajętych jest około 160 ludzi, których dzienny zarobek wynosi 8-10 zł. Przy pracy zatrudnieni są ludzie przeważnie miejscowi. Dziennie wyrabia się 3-4 wagonów kostki, a wogóle produkcja miesięczna różnych materiałów przekracza 1000 tonn. Materiały te wywozi się na Pomorze, do Warszawy, Lublina, nie mówiąc już o Wołyniu.

Przypatrzywszy się pracy i poznawszy jej organizację, idziemy dalej w towarzystwie gościnnego pana dyrektora kopalni obok całego szeregu zabudowań, ku Horyniowi. Widzimy las o pięknym podszyciu. P. dyrektor wskazuje ręką okolicę na prawo i odzywa się: „Oto tam jest wilczyca z młodem, właśnie hodujemy je na futro na zimę!“ Przyjemne życie, nieprawdaż koledzy, robinzonowskie, co?

Nad Horyniem piękna łączka, na drugim brzegu ukazuje się wieś Złazne. Wszędzie odsłaniają się odkrywki bazaltu. Wreszcie dochodzimy do miejsca, z którym wiąże się imię wielkiego króla, Stefana Batorego, biorącego stąd materiał na bu-

dowę drogi. Miejsce tem ciekawsze, że widać tu doskonale nad bazaltem kredę, zmetamorfizowaną pod wpływem gorąca lawy. Obecność kontaktowej kredy świadczyłaby o tem, że wulkan ten był czynny w czasie pokredowym, bo lava zetknęła się z istniejącym już osadem kredowym i kredę tę zmetamorfizowała.

W tem miejscu, naprawdę uroczem, w czasie wakacyj rozbity był obóz harcerski z drugiego krańca naszej ziemi, Wielkopolski, czy Pomorza—już nie pamiętam. Zazdrościliśmy im tego romantycznego obozowiska: linja tektoniczna, wulkany wołyńskie zwierz dziki, poziomek moc, zieleń i poszum drzew, które tyle widziały, przecudny Horyń, wąski a głęboki, no i źródło wody mineralnej, nie tyle w smaku miłej, ile na wzór cesarza Franciszka Józefa skutecznej... wszystko to na niewielkiej mieszczącej się przestrzeni:

Ponad wszystkie uczucia, jakie przeżywaliśmy w pamiętnej Janowej Dolinie, poprzez wszystkie myśli, które cisnęły się do głowy, gdyśmy chodzili, oglądając kopalnię, wybijało się na plan pierwszy jedno: świadomość, że jesteśmy świadkami amerykańskiego tempa pracy, umiejętnie pomyślanej, zorganizowanej i przeprowadzonej. Boć zastanowić się nad tem: Dnia 2-go stycznia 1929 szumią jeszcze drzewa, pierwobór. Dnia 3-go przy trzaskającym 40^o-owym mrozie wychodzą pierwsi ludzie z toporami, by walić drzewa, stojące na drodze do kopalni i rosnące nad lakkolitem. Po dziewięciu miesiącach mamy już otwarte złożę, wielką produkcję, 22 km. toru kolejowego, własny tartak, elektrownię, betoniarnię, produkującą dachówki, tańsze od gontów, pięć wielkich budynków, w których mieści się zarząd, mieszkania dla urzędników i robotników, ambulatorjum, kantyna. I kto to śmie mówić o „ospałym Wschodzie“?

Wieczór już zapada. Dawno czeka na nas platforma i pociąg, który odwozi masy robotników. Serdecznie żegnamy p. dyrektora i p. sztygara, którzy poświęcili nam tyle czasu, objaśniając i towarzysząc nam, w wędrówce. Na platformę podają nam w koszyku zebrane przez nas okazy bazaltu i kredy i ruszamy z powrotem. Przy opuszczaniu pociągu dziękujemy p. zawiadowcy za „orjent—expres“ i nie wiemy komu oddać stary koszyk, pozbawiony kamieni. Właściciela niema, a wyrzucić go

szkoda, bo członkom sekcji przemysłu ludowego oczy się świecą do tej bardzo oryginalnej formy koszyka. Uchwalamy więc włączyć go do zbiorów Koła Krajoznawczego, a na cześć nieznanego właściciela postanawiamy jednogminutowe milczenie (och, jak ciężko to przychodzi na wycieczce!). Przed udaniem się na spoczynek następuje parokilometrowa wyprawa po słomę i czeka nas romantyczne ognisko z ziemniakami. Nocujemy we wspólnym nowym gmachu szkoły powszechnej. Gmachu tego może pozazdrościć Kostopolowi i Kraków.

Rano wyjazd z przeszkodami do Gródka, słynnego z prac archeologicznych, przedsięwziętych przez Ludwika Sawickiego i jego współpracowników, o których to pracach były wzmianki w „Ziemi”. Niestety, poza terenem, na którym pracowali uczeni, nic nie zobaczyliśmy z tej dziedziny, bo wszystko pojechało do Warszawy. Ale nie możemy uważać tej części wycieczki za straconą. A jak to się stało, opowiem.

Gródek, to wieś, położona na obszarze o grubej powłoce lessowej, a sama stara nazwa wskazuje nam zupełnie inny obraz w zamierzchłej przeszłości. Less został przez ludność tutejszą po chińsku wyzyskany i tak np. po jednej stronie drogi widzimy domy, a po drugiej w brzegu lessowym komory, zamknięte drzwiami. We wsi widać słupy z drutami, drogi brukowane i szereg studni pompowych. Przecieramy oczy—skąd się to wzięło? Oprowadzający nas uprzejmy kierownik szkoły objaśnia, że to praca i pieniądze właściciela dworu, barona Steinheila niegdyś magnata rosyjskiego, który miał „słabość” do Gródka i dawał całej wsi światło ze swej elektrowni, podnosił jej kulturę, zbudował piętrową szkołę (wieś!), wyposażoną bogato w pomoce naukowe (sama biblioteka szkolna miała 5000 tomów), otaczał opieką ludzi do tego stopnia, że n. p. niedołężnym starcom dawał stałą zapomogę, wystarczającą do życia i t. p.

Dzięki jego poparciu mógł p. Sawicki objąć pracę wykopaliskową. O stosunku p. Steinheila do nauki świadczyć może fakt następujący: Z powodu utraty majątków w Rosji, nie należy dziś p. Steinheil do magnatów, a jednak ze swej ziemi wykroił przepiękny rezerwat lessowy morfologiczno - florystyczny.

Na przepięknym, potężnym okazie dęba, zdaje się, jest tabliczka z napisem, że tu jest rezerwat z mocy rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 24.VI. 1927. Jaki piękny przykład do naśladowania!

I znowu powrót, tym razem pieszo do Równego, skąd po obiedzie jazda do domu. Widzieliśmy dużo, przeżyliśmy wiele i tak myśleliśmy sobie: Jeżeli po Zjeździe Krajoznawczym nastąpi rozjazd uczestników w różne strony, to ci, którzy zechcą skierować swe kroki naszymi śladami, przeżyją wiele pięknych a pożytecznych chwil!



Czwartek.

CZWARTY KURS NA WYCIECZKE.

Wiadomą powszechnie jest rzeczą, że wycieczki, które my urządzamy, wyjątkowo się udają. Również powszechnie wiadomo, że kiedy my wyjeżdżamy na nie, musi być pogoda. Nic więc dziwnego, że gdyśmy wyjeżdżali z Krzemieńca, musiał ustać kilkodniowy deszcz i zaświecić nam słońce, lub księżyc, zależnie od potrzeby. Może o tem świadczyć następujący fakt. Kiedyśmy po wesołej podróży kolejną dojechali wieczorem o 9-tej do stacji Ożenina i przekonawszy się, że w dwóch autobusach niema już dla nas miejsca, przewedrowaliśmy na piechotę 14 km., wspaniały księżyc w pełni uprzejmie oświeślał nam miejscami „cokolwiek” błotnistą drogę.

Wpłynęło to ogromnie na humor: plecaki nie ciążyły, nogi nie bolały, choć maszerowaliśmy jak szewcy, spieszący z butami na jarmark. Dopiero pod Ostrogiem spostrzegliśmy, że marsz był zbyt forsowny, ale nasz komendant z rzetelną pogardą podkreślał ciągle, że wlecemy się jak ćmy i stale przyspieszał kroku.

Przebywszy o północy puste i ledwie oświetlone ulice Ostroga, z rozkoszą wyciągnęliśmy strudzone kości na słomie gościnnych pokoiw Seminarjum. Nazajutrz rano nikt już nie

pamiętał o minionych trudach. Po rannej mszy (była to niedziela) zwiedzaliśmy Ostrogę w towarzystwie uprzejmych kolegów - seminarzystów, pod przewodnictwem pana Dyrektora Seminarjum. Typowe miasto kresowe, dla nas Krzemieńczan, nie byłoby żadną nowością, gdyby nie zamek i rynek. Niewielki zamek z basztą pięknej Halszki z Ostroga, wznosząca się wyniosłe nad niską ulicą swojemi skarpami, przypomina cokolwiek słynną „kurzą stopkę“ wawelską. Wysłuchawszy romantycznej opowieści o Halszce, pięknej i nieszczęśliwej dziedziczce Ostroga, z tem większem zainteresowaniem oglądaliśmy jej portret, znajdujący się wśród innych pamiątek po książętach ostrogskich w skromnem muzeum w zamku. Tuż obok znajduje się wspaniały sobór, wprawdzie zniekształcony przez restaurację po pożarze, ale jednak świadczący wyraźnie o wpływie kultury polskiej w tem kresowem mieście. Doskonale zachowana renesansowa baszta, stojąca obok zamku i soboru, pozwalała nam wytworzyć sobie pojęcie o dawnym obronnym osiedlu polskim. A takich baszt, połączonych kiedyś murem warownym, pozostało dotąd w mieście trzy; jedna z nich, zwana „Tatarską“, znajduje się w dzielnicy, zamieszkiwanej dawniej przez Tatarów.

Może jeszcze większe zainteresowanie wśród nas wzbudził oglądany później rynek ostrogski, o ile bowiem kurs IV-ty miał dotąd możność poznać cały szereg zamków, lepiej lub gorzej zakonserwowanych, to pierwszy raz widzieliśmy oryginalny rynek średniowieczny, rozbudowany według prawa magdeburckiego w regularny kwadrat z ośmioma rozchodzącemi się od niego prawidłowo wąziutkimi uliczkami, oraz ze śladami bardzo starych sklepów i uliczek. Rynek ten z siecią uliczek doskonale zachowany, niby duży model do nauki historii kultury, leży w środku wielkiego placu, właściwego dzisiejszego rynku.

Wieczór spędziliśmy wesoło, gdyż Ostrożanie mają ten sympatyczny zwyczaj, że wycieczki (może tylko krzemienieckie) zawsze przyjmują „tańcówką“. To też odświeżono dawne znajomości, zawarto nowe, a czas leciał, jak na skrzydłach.

Nazajutrz — wycieczka do pobliskiego Międzyrzecza, w pobliżu którego przechodzi granica polsko — bolszewicka. Zas-

ługuje tu na uwagę śliczny zameczek z pierwszych lat XVIII w. Zameczek ten jest otoczony wałem i świetnie zachowanym murem, mającym kształt prostokąta. Na każdym rogu znajduje się renesansowa baszta z attyką i pięknym grawerowanym szlakiem, którego ślady widać i na murze,

Zameczek mieszczący się wewnątrz ma ten sam kształt wydłużonego prostokąta z okrągłymi basztami po rogach. Wszystko to, oprócz cerkwi, która zajmuje front zamczka, jest spustoszone wewnątrz, obdarte z ozdób, choć wszystkie mury, ściany i sklepienia są doskonale zachowane.

W mieszkaniu księdza znajduje się cela z cudownym gwiazdżystem sklepieniem, spływającym śliczną linią ku podłodze.

W murach zamczku cicho i pusto, tylko trawa i bodjaki rozrastają się swobodnie. Pustka ta i cisza ma ogromny urok, zapomina się tu o teraźniejszości, ogarnia człowieka średniowieczny prawie, mistyczny nastrój. Doprawdy, dla samego Międzyrzecza warto odbyć tę długą podróż: Krzemieniec — Ostróg.

Wyszedszy z wnętrza zamku, prędko ochłonęliśmy z nastroju. Z wałów wybiegliśmy wzrokiem „za granicę”. Niektórym przedsiębiorczym kolegom nie wystarczyło to, to też udali się do posterunku „KOP-u” (niewiem poco), ale wrócili bardzo prędko, niejasno tłumacząc przyczyny tego pośpiechu.

Przed zamkiem, na trawniku u stóp starych lip i kasztanów, spożywaliśmy chleb z wędliną i jabłka.

Blade jesienne słońce pobłażliwie uśmiechało się do naszych figlów i zabaw. Towarzyszyło nam kilku kolegów z Ostroga. Niezmiernie miło zeszedł nam czas w gościnnym Ostrogu, do którego znowu wróciliśmy z Międzyrzecza. Na trzeci dzień rano trzeba było odjeżdżać. Tym razem nie mierzyliśmy krokami drogi, odmierzonej poprzednio. Ze stacji Ożenin odjechalismy z paradą autobusem.

Powrotna podróż do Krzemieńca była aż nazbyt wesola i urozmaicona. Zwłaszcza pewne momenty utkwiły nam w pamięci. A więc „obiad” w Zdobunowie, gdzie trzeba było parę godzin czekać. Państwo prowiantowi wystarali się o wodę gorącą

ca, zaparzyli herbatę, do której zapobiegliwy kolega kupił tylko $\frac{1}{4}$ kg. (!) sody, pokrajali „kanapki”, na których od biedy mogłyby się dwie osoby pomieścić, wreszcie na deser dostali po jabłku. Tylko cukierki skąpy komendant schował „na potem”.

Zebrana w ogromnej sali III kl. (do drugiej by nas nie wpuścili) publiczność miała możność podziwiać bezpłatnie sielankowy obrazek: staranne odżywianie się dwudziestu kilku młodych ludzi, których humor wzrastał z każdą spożytą „kanapką”.

Droga ze Zdobunowa urozmaicona była bardzo pożytecznem ćwiczeniem umysłowem. Ktoś założył w Kurjerku ważną wzmiankę polityczną... Postanowiono więc sprawdzić w przeciągu najwyżej pięciu minut. Mimo twierdzenia, że „koleżanki” na polityce się nie znają”, te ostatnie zwyciężyły.

Ostatni epizod: rozbawione w najwyższym stopniu towarzystwo zapomniało, że ma wyśiadać w Kamienicy, wskutek czego konduktor musiał specjalnie zatrzymać pociąg, z którego dopiero po dłuższej chwili wysypało się poubierane w pośpiechu, jak na maskaradę bractwo, każdy w cudzem palcie, zakieciku, czapce.

Był wieczór... Cicha stacyjka w Kamienicy wrzała wyjątkowym gwarem. Znowu posiłek: kanapki, jabłka, a nadewszystko cukierki, których już nie było poco chować. A było tego całe wielkie pudło. Więc nic dziwnego, że komendant miał powodzenie, i to nie tylko u panienek...

Krzemieniec... Stacja, światła, gwar, harmider, dorożki, znajome twarze, wszystko miga jak w filmie. Lecz oto już mury Liceum i wrywa się z piersi pożegnanie ostatnie, słysząc okrzyki:

„Niech żyje IV kurs i wycieczka!”



Z T E K I H U M O R Y S T Y C Z N E J.

List do Wuja Daltona.

Krzemieniec, listopad.

K O C H A N Y W U J U!

W imieniu branży daltońskiej zasyłam Ci pozdrowienia:

Obys żył wiecznie! Chciałem Ci zwrócić uwagę co do Twego zdrowia, — mianowicie: jesień ma się ku końcowi i nadchodzi zima, — mam obawę, że gdy zapleśniejesz w swoich lochach, to na nic się zdasz, wobec czego radzę Ci, ażebyś pojechał gdzie na kurację, a gdy stamtąd wrócisz odmłodzony i rzeźki, wtedy z wielkim entuzjazmem Cię tu powitamy. Komunikuję Ci, kochany Wuju, że ciężkie nas teraz nawiedziły czasy. Mówią ludzie: „czas to pieniądź“, lecz Ty o tem zapomniałeś, bo tak rozłożyłeś czas, że ani jednego dnia nie możemy poświęcić na pracę daltonską.

Nie wierzysz?

Dowiodę.

Rok ma. 365 dni.

Dowiedziano naukowo, że człowiek połowę swego życia traci na sen, jedzenie, rozrywki (wyjątek stanowi min. Sławoj-Składkowski) i t. p. czynności, a więc traci się. 182 dni

Dwa miesiące odpada na wakacje, a więc. 62 „

W roku szkolnym niedziel mamy. 44 „

4 tygodnie odpada na Wielkanoc i Boże Narodzenie, co czyni 28 „

Pozatem w r. szkol. świąt (jednodniówek) i obchodów mamy 18 „

Każdy daltonista w tygodniu ma 18 godzin wykładowych, więc nowa strata, która w ciągu roku wynosi 720 godzin, czyli 30 „

Saldo 364 dni.

Pozostaje zatem jeden dzień, a tym dniem jest święto licealne. Pomyśl o tem, że nie wciągnąłem w rachubę wszelkich zebrzań kółkowych, prób orkiestry lub jakichkolwiek innych imprez, pomyśl o tem dobrze, a napewno włosy Twoje zrobią obrót 180-cio stopniowy, albo całkiem wypelzną.

Jednak zdajemy tematy miesięczne (z małemi wyjątkami), więc dorównujemy innym zakładom, a jak dowodzi wielu, — nawet je przewyższamy (wzrostem), wobec czego wniosek, że każdy po skończeniu zakładów licealnych jak nie zostanie geniuszem, to przynajmniej fenomenem.

Zostawiam Ci to wszystko do przemyślenia i życze, abyś na okres zimowy wyjechał do cieplejszego klimatu.

Kochający Cię

ZENTIL

DOPISEK REDAKCJI

Zwraca się uwagę, że Zenti nie uzyskał dwu podpisów z matematyki za październik i listopad, co usprawiedliwia metody jego pracy statystycznej.

REDAKCJA

KRONIKA „NASZEGO WIDNOKRĘGU”

NASZE ŚWIĘTO SZKOLNE

Dnia 28-go października hejnał z wieży kościoła licealnego przedzierając się przez kropelki dżdżu, płynął po dolinie krzemienieckiej, dając znać o rozpoczęciu święta licealnego.

Po nabożeństwie długi wąż młodzieży wił się ulicami Krzemieńca, dążąc na cmentarz pobazylijański. Przebrzmiał hymn „Boże coś Polskę”, utwór napisany przez dawnego dyrektora Liceum Krzemienieckiego, Alojzego Felińskiego. Po przemówieniu p. prof. Semila i wygłoszeniu wiersza p. t. „Pamięci dawnych profesorów licealnych”, napisanego przez byłego wychowanka Liceum, p. Wł. Mroza; sunęła wstęga młodzieży między grobami dawnych profesorów Liceum, składając hołd duchom zasłużonych. Cześć Wam,—szeptały usta—coście wielkiej idei służyli! I my jej dziś służyć pragniemy!...

Ciężkie, szare chmury pierzchły. Na niebie zajaśniał błękit, a na jego tle jasno zarysowujący się zamek, zda się odmłodzony, witał wracających z cmentarza.

Wieczorem akademje i raut.

Przed oczyma stało dawne Liceum, dawni działacze pracujący w jego murach, sławni wychowankowie naszej szkoły...

W purpurze i blasku wielkości stała ta szkoła, mająca dla wszystkich, jak słońce, światło i ciepło, w promieniach obrzeżną krainę kąpiącą... Ludzie wielkiej myśli i serca a jednocześnie, niby drobne mrówki, tylko dla ogólnego dobra pracujący—wyłynęli dawni profesorowie i wychowankowie na widownię dziejową.

Tak dawniej było, tacy tu ludzie żyli niegdyś...

A my?...

Dzień wielkiej radości ma też być dniem rachunku sumienia i mocnych postanowień...

Ś. P. FELIKS LIPIŃSKI.

Dnia 14/XI—b. r. nadeszła do Krzemieńca żałobna wiadomość: W katastrofie lotniczej w Poznaniu poniósł śmierć były wychowanek Liceum Krzemienieckiego Feliks Lipiński.

Zmarły pochodził z Kresów, z ziemi Kijowskiej, urodził się w Humaniu 24/IV. 1907 r. W roku 1921 przybył do Polski i został przyjęty do klasy 6-ej gimnazjum państwowego w Krzemieńcu. Prawym charakterem i gorącym sercem zdobywa sobie kolegów i wychowawców. W

roku 1924/25 kończy szkołę, zdając egzamin dojrzałości.

Po maturze odbył wyszkolenie wojskowe w szkole podchorążych piechoty, poczem poświęcił się zawodowi lotnika, przechodząc do wojskowej szkoły lotniczej. Po ukończeniu tej szkoły w r. 1928 otrzymał przydział jako podporucznik-lotnik w 3. pułku lotniczym w Poznaniu.

Dnia 12/XI. 1929 r. odbywały się ćwiczenia lotnicze. Do samolotu por. Lipińskiego zbliżył się zbyt blisko drugi samolot, nastąpiło zderzenie i spadek samolotu, a nasz drogi kolega poniósł śmierć.

Poległy zostawił w Krzemieńcu matkę, o której zawsze mówił i o którą zawsze się troszczył.

Zginął w pełni sił, w kwiecie wieku tuż po ukończeniu szkół, na progu pracy zawodowej.

Cześć jego pamięci!

AUDYCJE MUZYCZNE.

Już od dwóch lat odbywają się w Liceum audycje muzyczne pod kierownictwem p. prof. Jerzego Gaché, mające na celu nie tylko wzbudzenie zamiłowania do muzyki, które stanowi tak ważny czynnik wychowawczy, lecz mają także na celu zapoznanie uczniów z całokształtem form muzycznych, a tem samem z rozwojem muzyki, oraz z charakterem główniejszych epok.

Audycja zaczyna się zwykle krótką prelekcją p. prof. Gaché na temat utworów, znajdujących się w programie audycji, oraz analiza takowych, poczem następuje samo wykonanie w formie solowej lub zespołowej (śpiew, fortepian, skrzypce, wiolonczela, trio).

Przez okres dwóch ubiegłych lat tematami audycji były początkowo najprostsze formy pieśni, przeważnie ludowych, potem i tańce narodowe, obce i stylowe, następnie inne przystępne formy instrumentalne, a obecnie t. j. od września tematem jest forma sonaty (starożytna i klasyczna) przeważnie Haydna, Mozarta i Beethovena.

W czasie audycji słuchacze nie upajają się wyłącznie muzyką, (której wykonanie jest bardzo piękne) lecz starają się zrozumieć ją, aby tem samem poznać kompozytora, oraz ducha epoki.

Z NASZEGO RUCHU WYCIEZKOWEGO

Tegoroczny ruch wycieczkowy był dotąd u nas bardzo ożywiony.

Koło krajoznawcze urządziło dwie dalsze wycieczki t. j. do Janowej Doliny i do Pełczy. Obydwie odbyły się pod kierownictwem p. prof. Mączaka. Pierwsza trwała od dnia 4 do dnia 6 października z udziałem 27 członków, druga od 31 października do 2 listopada z udziałem 34 członków. Oprócz tego kurs 4-ty Seminarjum, pod kierownictwem wych. p. Ruskowej, urządził trzydniową wycieczkę do Ostroga, trwającą od dnia 12 do 15 listopada, kurs 3-ci do Michałówki, gdzie zwiedził sanatorium licealne, a ostatnio t. j. dnia 7 grudnia razem z 7-mą kl. gimn. do Babina, zapoznając się tam z fabryką cukru. Pierwszy kurs zrobił dwie wycieczki: 1 do Bereźec i 2 do Smygi. Zaznaczyć należy, że oprócz ko-

rzyści naukowych, wycieczki te mają jeszcze na celu dać możliwość odpoczynku po ciężkiej pracy przy naszym systemie daltońskim.

PRACA UCZNIÓW NA BOISKU LICEALNEM.

W miesiącu październiku przystąpiła młodzież licealna do niwelacji boiska, którego różnice poziomu sięgają do paru metrów, wskutek czego boisko nie odpowiada naszym potrzebom. Młodzież pracuje klasami oraz grupami gimnastycznymi. Obecnie jest już na ukończeniu niwelacja bieżni i jest nadzieja, że tego roku będzie całkowicie wykończona, o ile będzie sprzyjała pogoda. Projekt ten podały dyrekcje zakładów, a młodzież przyjęła go ochotnie i radośnie.

Z DZIAŁU WYSTAW.

Corocznie Liceum urządza kilka rozmaitych wystaw z różnych dziedzin. Najczęstsze są wystawy z zakresu malarstwa. Tego roku urządził pan prof. Galimski wystawę reprodukcji najlepszych dzieł Matejki, którą odwiedziła młodzież klasami. Przed każdym zwiedzeniem p. prof. Galimski miał krótki odczyt o życiu oraz o ważniejszych dziełach artysty, poczem nastąpiło same zwiedzanie i objaśnianie obrazów. P. Zadróżny, kierownik bibl. licealnej, urządził wystawę książek, gromadząc najwartościowsze i najlepsze dzieła, znajdujące się w Krzemieńcu. Celem tej wystawy było zapoznanie uczestników z wyglądem zewnętrznym niektórych dzieł, wydanych wytwornie oraz pokazanie starych druków z ubiegłych stuleci.

W związku z rozstrzygnięciem konkursów Kół Mł. Wiejskiej, które odbyło się w Liceum dnia 16/10—b. r. w formie wystawy, dałoby się powiedzieć parę słów o tej instytucji.

Istnieje na Wołyniu (jak zresztą i w całej Polsce) Związek Kół Młodzieży Wiejskiej, którego znaczenie gospodarcze i oświatowe dla Państwa jest znane.

Nas szczególnie obchodzi rozwój jego u nas t. j. w pow. krzemienieckim, oraz stanowisko, jakie zajmuje względem niego Liceum.

Stan tej organizacji w wyżej wymienionym powiecie przedstawia się w najogólniejszych zarysach następująco:

Jest obecnie 18 kół do których należy 512 członków, w czem 362 członków narodowości niepolskiej jest to zrozumiałe ze względu na stosunki narodowościowe Wołynia. W kołach tych istnieją oddziały P. W. i W. F. (4) zespoły teatralne (15), chóry (9), orkiestry (2) zespoły konkursów rolniczych (48). Duże znaczenia oświatowe mają pisma związkowe, których jest (z rozmaitych dziedzin) około 12, oraz biblioteki wędrownie (13) i t. p. ...

Sprawdzianami postępu w pracy tych kół są konkursy, urządzone dwa razy do roku, które kończą się wystawą produktów rolnych. Po zakończeniu konkursów odbywają się wleczorki z popisami chórów, zawody sportowe, odczyty i t. p....

O rozwoju tego związku będziemy więc mieć pojęcie, kiedy np.

zestawimy wyniki dwóch konkursów, wiosennego i jesiennego w 1929 r. I tak: kiedy w konkursie wiosennym uwzględnione były tylko trzy tematy t. j. hodowla świń, czyszczenie sadów i konkurs zbiorów, przystąpiło doń około 200 członków, i kiedy rozdano nagród na sumę 1900 zł., to już w konkursie jesiennym wystąpiło aż 9 tematów, udział wzięło 312 członków i rozdano nagród na ogólną sumę 3160 zł. (w narzędziach rolniczych oraz listy pochwalne).

Na podstawie tych zestawień możemy mieć jakie takie wyobrażenia o szybkich postępach Związku naprzód:

SPRAWOZDANIE.

z działalności Koła Krajoznawczego im. Dr-a. Wilbald Bessera
w Krzemieńcu od dnia 10/XI do 10/XII.

Pracę w Kole rozpoczęto od ponowienia wpisów i przyjęcia nowych członków. W roku obecnym t. j. 1929-30, koło nasze liczy 120 członków, zarówno uczniów seminarjum, jak i gimnazjum. Ze względu na brak czasu członków, zebrania ogólne odbywają się co drugi tydzień, na których oprócz załatwiania spraw bieżących, jest dzielenie się wiadomościami zdobytymi przez poszczególne sekcje w ich zakresie działania, a także i innych spostrzeżeń. Dotychczas zebrzań ogólnych odbyło się 7, zebrzań zarządu-5. Zarząd zajmuje się w dalszym ciągu opracowaniem szczegółowo Zjazdu Kół w Krzemieńcu i czyni przygotowania do tego.

Pracą w kole odbywa się sekcjami, których jest 11 a mianowicie:

1)	Sekcja przewodników,	której skład wchodzi 35 osób.
2)	" archeologiczna,	" " " 20 "
3)	" przyrodnicza,	" " " 19 "
4)	" budownictwa ludowego	" " " 19 "
5)	" kultury duchowej ludu	" " " 13 "
6)	" kartograficzna	" " " 11 "
7)	" historyczna	" " " 10 "
8)	" przemysłu ludowego	" " " 11 "
9)	" Dzieje „Naszego Widnokręgu”	" " " 7 "
10)	" „Dzieje Liceum”	" " " 11 "
11)	" Meteorologiczna	" " " 3 "

Praca sekcji odbywa się w ten sposób, że mają one osobne zebrania i osobne wycieczki celem gromadzenia materiałów z różnych dziedzin, zaś na zebraniach ogólnych składają sprawozdania ze swej działalności.

W dalszym ciągu koło nasze redaguje „Nasz Widnokrąg”. Byt jego polepszył się o tyle, że zwiększyła się listy jego prenumeratorów, co jest dla nas miłe i przyjemne.

Mamy nadzieję, że zainteresuje się nim jeszcze większy ogół, co nam da możność wydawać nasze pismo w lepszej szacie zewnętrznej i w powiększonej objętości.

Z A R Z Ä D.



Prenumerujcie i rozpowszechniajcie

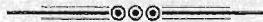
„O R L I L O T”

bardzo zajmujący, bogato ilustrowany miesięcznik krajoznawczy młodzieży.

Prenumerata roczna 4 zł.

**Adres administracji: Kraków, Krowoderska,
74/IIp.**

Prenumeratę można uiścić także przez zarząd naszego Koła Krajoznawczego.



CENA ZESZYTU 80 GR. DLA MŁODZIEŻY 40 GR.

Adres administracji: Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbald Bessera
Młodzieży Liceum Krzemienieckiego.

Wydawca: Koło Krajoznawcze D-ra Wilbald Bessera Młodzieży Liceum
Krzemieńskiego, pozostające pod opieką prof. Franciszka Mączaka.

Redaktor Naczelny: STECIUK ANATOL.



Krzemieńec, druk. „SŁAWA”, Szeroka 76.

